WEWNĄTRZ NUMERU SPIS NAGRÓD I WARUNKI KONKURSU: „NAJPIĘKNIEJSZEGO DZIECKA POLSKIEGO".

ROK I. Nr. 26. *21 lipca 1929 r.*

7 DNI

CENA 50 GR

Rejentalnie stwierdzony nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Zgrabne „girls'y" nawet na urlopie niezapominają o rytmice nóżek (fot. Petel).

Z dalekich stron

Istnienie emigracji oznacza głęboki przewrót w pojęciach ludowych, wskazuje bowiem, że ten lud, który z fatalizmem indyjskiego buddysty poddawał się losowi, który ginął i marł na miejscu, skoro nie miał środków istnienia — zerwał się z całą świadomością do walki z życiem i jego trudnościami.

Stanisław Szczepanowski.

Ilekroć razy mowa o emigracji ludu polskiego w dalekie, obce strony, stają mi przed oczyma obrazy z okresu wojennego, kiedy to kmiotka naszego żadne moce oderwać nie mogły od umiłowanego szmata ziemi, co mu był wszystkiem, jak mówi niezapomniany mistrz Reymont — „chlebem i pacierzem, kołyską i całym żywotem". Orał, obsiewał lubą matkę-ziemię, mimo, iż pioruny wojenne padały raz po raz wokół niego, iż wszystko, słońce nawet, zaciągnęło gęstą kurzawą. Przywarł do niej, pazurami wżarł się w glebę, byleby umrzeć na zagonie ojcowym, byleby wytrwać na posterunku...

Trzebaż było straszliwych warunków bytowania na tej ziemi ukochanej, by tyle ludu wygnać w zamorskie kraje, na niepewny los. Grozy wojennej przecież nie było, gdy tysiączne rzesze, sprzedawszy marną chudobę na opłacenie przejazdu, wędrowały z pełnym rozmysłem w obce, nieznane strony.

Istotnie. Straszne to były czasy nędzy i poniewierki, kiedy w całym kraju, „od sinych gór aż po bursztynem dzwoniące fale morza, nigdy nie obsychały łzy, niema rozpacz siedziała na progach chat, na rozstajach Chrystusy ociekały żywą krwią męczeństwa i jęk był codziennym pacierzem Żywota"...

Wędrowali... Wolność i dobrobyt, których zaznawali zdala od kraju, nie wykorzeniły z nich tęsknoty za umiłowaną Ojczyzną. Na każdy zew, stawali do apelu, świecąc przykładem karności. Kto nie mógł walczyć orężnie, pracy i grosza nie szczędził dla sprawy. Wszyscy pospołu, wielcy i maluczcy — wszyscy, synowie jednej Ojczyzny!...

Aż zajaśniała jutrzenka wolności. Piersi wezbrały niezmierną radością i z gruzów wojennych powstawał majestat Tej, co nigdy nie zginęła w sercach ludzkich. Tułaczka, żałosne wygnanie miljonowych rzesz przybrała formy racjonalnej emigracji, dyktowanej już teraz warunkami gospodarczemi, z których najważniejszy — to szybki przyrost ludności, nieproporcjonalny do rodzimych zasobów krzepnącej po latach niewoli Ojczyzny, a obok tego, brak kolonji, dokąd możnaby kierować naturalną ekspansję narodu.

Trudno. Należy pogodzić się na razie z tym stanem rzeczy i umieć nawiązać odpowiedni kontakt z ziomkami, pozostającymi na obczyźnie.

Oto zadanie odbywającego się poraz pierwszy od chwili odzyskania Niepodległości Zjazdu Polaków z Zagranicy.

Obrady nad stworzeniem stałej współpracy są w toku. Rodacy nasi będą mogli dokładnie zapoznać się z dorobkiem osiągniętym w okresie pierwszego dziesięciolecia Niepodległości. Obraz odrodzonej Polski ujrzą w całej pełni na Powszechnej Wystawie Krajowej.

Powstaje atoli inna konieczność — zapoznania się ze społeczeństwem, nawiązania z niem stałego kontaktu, któryby umożliwiał jaknajszersze rozwinięcie programu współpracy, około dalszego budowania Polski. Nieodzownym warunkiem w tym względzie jest usunięcie wszelkich tarć i zgrzytów, osłabiających siłę przyciągającą Ojczyzny zarówno w dziedzinie orjentacji politycznej, jak też gospodarczej zainteresowanych czynników.

Nie masz tu miejsca na waśnie i kłótnie, o których, niestety, wrogowie nasi niejednokrotnie kolportowali wiadomości w obawie przed skoordynowaniem wszystkich żywotnych sił Polaków.

Praca skuteczna, pozwoli może i nadal się rozwijać jedynie w atmosferze zgody i zaufania.

Partyjnictwo musi ustąpić miejsca porozumieniu się wszystkich ze wszystkimi, gdyż jeden przyświeca nam cel, służby dla Ojczyzny. Ktokolwiek nie czuje się na siłach wyzbycia metod szkodliwego matactwa politycznego — niechaj lepiej odejdzie w cień i pracuje wyłącznie we własnym warsztacie, przysługując się tem samem ogólnej sprawie.

A pracy wszak nie zbraknie. Rodacy nasi, którzy przywykli pracować konkretnie, zrozumieją to najlepiej.

Bodajby duch zgody zapanował pomiędzy nami, przynajmniej na czas trwania tak doniosłych obrad. Inaczej bowiem dyskusje, prowadzone obecnie, nie przyniosą żadnego wyniku, przeciwnie nawet, wzbudzić mogą niejedną wątpliwość i wzajemne niezaufanie.

Zagadnienie to jest tembardziej ważne, iż wszyscy mamy tu na myśli utrwalenie na stałe kontaktu pomiędzy wychodźtwem a Macierzą.

Nowy więc wychodźca opuści Ojczyznę z głebokiem przeświadczeniem, iż nie jedzie na poniewierkę, nie zaprzeda się na niewiadomy los, albowiem czuwać będą w kraju nad jego dolą i zawsze otrzyma należytą opiekę.

Na taką samą opiekę liczyć musi ten, co po latach tułaczki powraca do kraju z uciułanem grosiwem i pragnie pracować na ojczystym zagonie.

Ci wreszcie wszyscy, co rozsiani po całym świecie, nie przestają czuć się Polakami, winni być spokojni o los Ojczyzny, my zaś, poświęcający na miejscu siły nasze rozbudowie Jej przyszłości, musimy być pewni, iż liczyć możemy w razie potrzeby na pomoc miljonowych rzesz rodaków z zagranicy.

Er.

NAGRODY KONKURSOWE „7 DNI" DLA NAJPIĘKNIEJSZYCH DZIECI POLSKICH.

PIERWSZE NAGRODY GOTÓWKOWE FABRYKI ZNAKOMITEJ CZEKOLADY „SUCHARD" W ŁĄCZNEJ SUMIE

10.000 ZŁ.

PONADTO:

Oryginalna maszyna do szycia firmy „Singer".
Luksusowy radjoaparat 5-cio lampowy z firmy Natawis.
5 aparatów fotograficznych firmy „Kodak".
Patefon i 5 płyt firmy „Dancephon", Marszałkowska 98.
10 angielskich piór wiecznych „Platinium".
Garnitur mebelków dziecinnych, składający się ze stolika i 2-ch fotelików z firmy sportowo-podróżniczej „Komispol", Kr. Przedm. 16.
5 piłek skórzanych do napompowywania z tejże firmy
Złote i srebrne żetony pamiątkowe.
25 kg. doskonałej czekolady.

i w. in.

Szczegółowe warunki konkursu zamieszczone dla przypomnienia na str. 19.



Fotografja nasza przedstawia jednego z uratowanych z zatopionej łodzi podwodnej H. 47 por. Gardner. (Wide World).



Martin Andersen, największy z obecnie żyjących, duńskich poetów przekroczył 60 rok życia. (Atlantic).



Przedstawiciele Polonji zagranicznej, przybyli na zjazd do Warszawy, gdzie zostali uroczyście przyjęci w Sejmie.



Dotychczasowy minister pełnomocny republiki estońskiej w Warszawie p. Otto Strandmann został premjerem. (Światowid).



Quasnacy Pierre mianowany został dyrektorem Banku Międzynarodowego de la Haye. (Wide World)



Wyjazd sokołów polskich, przybyłych z Ameryki na Międzynarodowy Zlot Sokołów do Poznania. (Światowid).



Kilka dni temu pochowano w Bystrej znakomitego polskiego malarza ś. p. Juljana Falata.



Fotografja nasza przedstawia przybycie do Paryża wycieczki 400 Polaków, obrońców Verdun. (Wide World).



150 przedstawień przepięknej rewji „Warszawa w kwiatach" w teatrze „Morskie Oko" — to zasłużony sukces dyrekcji i świetnego zespołu tego miłego teatrzyku. W rewji tej zbiera m. in. huczne oklaski p. Mary Gabrieli za przebojowy numer „Mimoza".



Konkurs najpiękniejszego dziecka.



Pod Wintarami na szosie łódzkiej, autobus pasażerski spadł z wysokości 7 metrów z mostu w wodę. Wszyscy pasażerowie ciężko ranni. (fot. Engel).



Pani Zofja Batycka, nowa gwiazda wytwórni „Sfinks".

Dzięki energicznej inicjatywie Gen. Sochaczewskiego konkurs piękności samochodów na P. W. K. w Poznaniu wypadł znakomicie. Wśród wyróżnionych wozów zauważyliśmy pięknego Buicka.



Nuncjusz Apostolski Borganzini złożył swe listy uwierzytelniające królowi włoskiemu. Na fotografji widzimy Nuncjusza w otoczeniu gwardji papieskiej. (Wide World).



Fantastyczna karjera literata

Czasy, kiedy to artystę zwykło się uważać za golca minęły bezpowrotnie. Dziś każdy śmiertelnik, spożywający swą codzienną porcję najnowszych wiadomości prasowych, wie że Charlie Chaplin jest miljonerem i to amerykańskim, że Szaljapin za jeden występ bierze kilkadziesiąt tysięcy dolarów, że Paderewskiego stać na to, aby ofiarować miljony na cele dobroczynne i że za obraz Matisse'a, czy portret Van Donguena płaci się dziś w Paryżu setki tysięcy. Dziś artysta nie nosi już długiej peleryny i szerokiego czarnego kapelusza, lecz eleganckie, wytworne ubranie według najnowszego kroju i od najlepszego krawca; nie chodzi już w podartych, wykoszlawionych bucisKach, lecz kieruje autem. Nawet u nas, w krainie najzawilszych zagadek ekonomicznych, Hemar, Brzechwa i inni poeci z bożej łaski mają swe limuzyny... Słowem sztuka zaczyna się opłacać. Trzeba tylko mieć talent i — szczęście...

Jednym z takich „szczęściarzy" jest młody pisarz niemiecki Erich Maria Remarque, autor powieści *„Na Zachodzie nic nowego"*, wczoraj jeszcze zupełnie nieznany, skromny biuralista, dzisiaj sławny na cały świat powieściopisarz, zasypywany artykułami dziennikarskimi i... markami, dolarami i funtami. Historja tej fantastycznej karjery literackiej zasługuje na to, by ją opowiedzieć.



Nowe bożyszcze autorów niemieckich, Erich Maria, Remarque, którego powieść p. t. „Na zachodzie, nic nowego" stała się prawdziwą sensacją Europy. (Fot. Ullstein)

Erich Maria Remarque był uczniem gimnazjalnym w jednem z prowincjonalnych miast niemieckich, gdy wybuchła wojna. Jak tylu innych, zgłosił się Remarque na ochotnika i niemal wprost z ławy szkolnej powędrował, po krótkiem wyszkoleniu wojskowem, na niemiecki front zachodni. Cztery lata spędził w okopach tego piekielnego odcinka, wobec którego, jak mawiali żołnierze, front wschodni był odpoczynkiem. Codzień zaglądał śmierci w twarz, poznał chłód i głód, dolę i niedolę żołnierską. A gdy wreszcie zawarto zawieszenie broni, stał się cud: okazało się, że nie wszyscy wyginęli... Jednym z tych, którzy z tego piekła wyszli cało był Erich Maria Remarque.

Ale tu dopiero zaczynają się trudności. Jak dać sobie teraz, po tylu latach straconych, radę z życiem? Remarque nie traci nadziei, zdaje t. zw. „przyśpieszoną maturę" i zostaje nauczycielem wiejskim. Ale młodość musi się wyszumieć. Remarque jest zbyt młody jeszcze, aby osiąść już na stałe w małej zapadłej wioszczynie i zbyt rwie się do życia, do „dalekiego świata". To też rzuca wkrótce swą szkółkę i wyjeżdża do stolicy. Ale Berlin jest twardem miastem i trzeba, chcąc się w niem ostać, wziąć się z życiem porządnie za bary. Zaczyna się walka. Młodzieniec próbuje szczęścia w rozmaitych zawodach — napróżno. Jest już potroszę zmęczony i korzysta z pierwszej okazji, by zawinąć do „portu", którym w danym wypadku jest skromna posadka biuralisty w jednem z wielkich wydawnictw berlińskich.

Lata mijają. Remarque jest wciąż owym skromnym, nieznanym urzędnikiem, czekającym wiecznie na ostatni dzień miesiąca, na dzień już nie „zapłaty", a wypłaty... I tylko w wolnych od zajęć chwilach pisze powieść p. t. *„Na Zachodzie nic nowego"*, w której opisuje wszystkie swe przeżycia na wojnie. Pisze, nie śpiesząc się. Ma czas. Wie zgóry, że na pierwszą książkę — i to w dodatku wojenną, — nie tak łatwo znajduje się nakładcę. Nie pomyślał o nakładcy nawet wtedy, gdy powieść, już ukończona, leżała w szufladce. Dopiero ulegając namowom jednego ze swych przyjaciół, decyduje się zanieść rękopis swój nakładcy, u którego pracuje jako urzędnik. Nakładca dziwi się, uśmiecha i wreszcie — po przeczytaniu — daje odpowiedź odmowną. Ktoś radzi nieznanemu autorowi zwrócić się do Fischera, innego nakładcy. Ale okazuje się, że Fischer wyjechał na kilka tygodni. Wtedy Remarque wpada na pomysł. Idzie do Ulsteina, jednego z największych wydawców w Berlinie i proponuje mu swą książkę, żądając jednak odpowiedzi w przeciągu ośmiu dni, gdyż — jak twierdzi — pertraktuje w tej sprawie z Fischerem, który wyjechał. Nazwisko Fischera podziałało. Ulstein zatrzymuje rękopis i obiecuje odpowiedź za tydzień. Ale już na drugi dzień telefonuje do Remarque'a:

— Książkę pana przyjmuję. Zazwyczaj płacę za powieść sześć do ośmiu tysięcy marek. Ale panu zapłacę dwadzieścia tysięcy, — pod warunkiem, że sprzedaje mi pan wszelkie prawa do dalszych wydań i ewentualnych przekładów. Zgadza się pan? Jeśli się pan zgadza, proszę przyjść podpisać umowę.

Remarque jest oszołomiony. „Ile pan daje?"— pyta, nie wierząc swym uszom, „Dwadzieścia tysięcy — gotówką!" Remarque bez wahania zgadza się. Takiej sumy nie posiadał jeszcze nigdy. Wkrótce potem ukazuje się jego książka. Wszystkie gazety zamieszczają o niej obszerne sprawozdania — z fotografją autora, chwalą go, piszą o jego genjuszu, zachwycają się nim. Za witrynami księgarń widzi swoją książkę, w tramwaju, w kolejce podziemnej widzi setki ludzi, rozczytanych w jego powieści, kilkakrotnie słyszy w kawiarni głośno wymówione swe nazwisko... Jest znany, jest sławny... Ale niema róż bez kolców. Wszystkie prawicowe, ultra-nacjonalistyczne dzienniki koncernu Scherla, tego samego Scherla u którego Remaque był drobnym urzędniczyną, rzucają się na autora książki *„Na zachodzie nic nowego"*, nazywając go zdrajcą i renegatem, przekupionym przez... Francję.

A w księgarniach wciąż się pytają o Remarque'a. W przeciągu pierwszych kilku dni sprzedano sto tysięcy egzemplarzy, w przeciągu jedenastu tygodni przeszło ośmset tysięcy. Z zagranicy przychodzą propozycje przekładów, książka ukazuje się znów w setkach tysięcy egzemplarzy zagranicą.

A wydawca zaciera ręce. Zapłacił autorowi dwadzieścia tysięcy, a zarobił na nim miljony. Tak, miljony. Ale czy tak można?... Przez chwilę waha się, wreszcie wydaje pewne dyspozycje i telefonuje do Remarque'a, zapraszając go do siebie i mówiąc:

— Panie, mam z panem kontrakt na dwadzieścia tysięcy, a zarobiłem na panu... no, nie mówmy wiele... Ale tak być nie może. Unieważniam dotychczasową umowę i będę panu płacił pięćdziesiąt fenigów od książki. Proszę, oto czek...

Ośmset tysięcy egzemplarzy sprzedanych, to znaczy — czterysta tysięcy marek, czyli ośmset tysięcy złotych — i nagle Remarque jest prawie... miljonerem.

Wychodzącemu z domu nakładcy Remarque'owi, lokaj powiada: „Auto pana Remarque'a już zajechało".

Remarque rumieni się i pełen zakłopotania powiada: „Nie, to pomyłka ja wcale nie mam auta"...

Lokaj, kłaniając się powtarza: „Auto pana Remarque'a"...

I rzeczywiście przed bramą czeka na Remarque'a cudowna, wytwórna limuzyna. To wdzięczny nakładca chciał mu sprawić niespodziankę...

A. Pr-i.



Afisz angielski, reklamujący powieść Ericha Maria Remarque'a

Czy wiecie że...

...w roku 1929 upływa 34 lata od chwili pojawienia się pierwszego samochodu. Dzisiaj kursuje na świecie 31 miljonów samochodów, z czego na same tylko Stany Zjednoczone Ameryki wypada 24 miljony.

*

...według sprawozdania, złożonego niedawno w Lidze Narodów, istnieje jeszcze do dnia dzisiejszego niewolnictwo w Arabji, Sudanie i Abisynji. Rocznie sprzedaje się około 2000 niewolników na targach w Jemenie i mieście portowem Dżidżach. Cena niewolnika waha się między 20 a 100 funtów szterlingów.

*

...statystyka amerykańska oblicza, że roczny połów bandytów amerykańskich dochodzi do sumy 200 miljonów dolarów.

*

...według obliczeń Polskiej Ligi Samowystarczalności sprowadziła Polska w ciągu ostatnich dwóch lat — z zagranicy — za miljard sześćset dziewięćdziesiąt miljonów takich towarów, które można było nabyć w kraju.

*

...prezydent Hoover otrzymuje dziennie przeszło tysiąc listów i około dwieście depesz.

*

...o szybkiem tempie rozwoju lokomocji świadczy fakt że w roku bieżącym postanowiła firma General Motors rzucić na rynek pięć miljonów pięćset tysięcy samochodów.

*

...we Włoszech krzątają się obecnie nad wzniesieniem pomnika Mussoliniego. Pomnik ten będzie wyciosany z bloku marmurowego o wadze 370 tysięcy kilogramów, wysokości 33 metry. Na świecie znajdują się jeszcze trzy podobne pomniki: Kolumna Napoleona na placu Vendome w Paryżu, kolumna Marka Aureljusza na pamiątkę zwycięskich bojów z Markomanami i Trajana za zwycięstwo nad Dacją.

*

...Szwecja liczy 940 miljonerów, z czego aż 192 kobiety. Najwięcej bogaczy rekrutuje się z pośród właścicieli ziemskich.

BRUNO WINAWER.

Trudna sprawa

I znów wydawcy się skarżą, nosy spuścili na kwintę, łysiny posypali popiołem, zawodzą żałośnie i płaczą, bijąc głową o mur — że tak powiem obrazowo — obojętności ludzkiej. Książek nikt nie czyta, kultura upada, zastój. Źle!

Rzecz zastanawiająca. Tyle wrzawy narobiliśmy naokoło piśmiennictwa, literaturę piękną uważamy wszyscy — bez różnicy płci, wieku, zawodu, wyznania politycznego — za coś... no brak mi słów... poprostu najpiękniejszego na ziemi, a tymczasem.

Książkę bardzo poczytnego autora drukujemy w *trzech tysiącach egzemplarzy.* Gdybyśmy dziś nawet stworzyli nagle arcydzieło, to zwolennicy tego arcydzieła mogliby się pomieścić w niedużej stosunkowo sali kinematograficznej. Liczebnik — w zastosowaniu z entuzjastami pierwszej lepszej starej klaczy wyścigowej, pierwszego lepszego piłkarza, pięściarza, motocyklisty, lekkiego amanta filmowego, atlety, linoskoka — wyglądaliby, jak nieduża gromada gapiów, zbiegowisko, które ściągnął na plac wypadek samochodowy. Mamki w ogródku podmiejskim biją na łeb i na szyję — oczywiście, ilościowo — tak zwane liczne „rzesze czytelników". Sześcioletni „Forward" albo trzyletni „Madryt" jest w gruncie rzeczy popularniejszy od czterdziestoletniego powieściopisarza, plaża nad Wisłą zdobywa bez trudu w dzień słoneczny pięć razy większe uznanie, niż cały bagaż literacki głośnego laureata. Wieczorkiem w Alejach snują się gęste tłumy i gdyby co dziesiąta osoba chciała pójść do domu i coś przeczytać — potroilibyśmy wszystkie nakłady... Ale cóż — nie chce. Dziesiąta osoba, jak dziewięć innych, szwenda się bez sensu, chodzi, siada, plotkuje, patrzy czy kasztany kwitną, wącha akacje, pije wodę sodową i wzdryga się na myśl o farbie drukarskiej.

— I pan te czasy okropne pochwala? — mówią mi ludzie z wyrzutem — pan to wszystko uznaje, aprobuje?

Nie. Stwierdzam tylko, że ze wszystkich wynalazków, na jakie się ludzkość zdobyła, największym „gwoździem" sezonu, największym „szlagierem", najlepszym numerem tego programu, który trwa od tysiąca wieków, był wynalazek Gutenberga.

Świetny fizyk angielski, profesor Audrade, wydał niedawno książkę o atomach. W przedmowie usprawiedliwia się, że wszystkich — nawet ciekawszych — prac naukowych o tych atomach przejrzeć i zreformować nie zdołał, bo takich prac drukujemy krocie. Podobno około miljona broszur specjalnych, drobnych przyczynków etc. wypluwają rok rocznie maszyny drukarskie. Niedawno też podał się do dymisji pewien bibljotekarz londyński. Pracował w muzeum kensingtońskiem, które gromadzi wyłącznie i jedynie dzieła, traktujące o wojnie. Zapisał do katalogów w ciągu sześciu lat swego urzędowania — *czterdzieści tysięcy* foljałów, przejrzał i usiłował przeczytać 5000, aż wreszcie złożył broń, poddał się, zrejterował, chociaż na wojnie walczył dość dziarsko i otrzymał stopień kapitana.



Pierwsza ręczna prasa drukarska (sztych z XVI wieku)



Pierwotne pismo indjan południowo-amerykańskich, polegające na wiązaniu sznurków, różnej grubości, długości i koloru. Pisane w ten sposób „listy" dotyczyły głównie tajemnic plemion oraz skarbów, a dziwaczna ich pisownia była znana tylko czarownikom i niewielu wtajemniczonych. Badacze kultury i historji indjan południowo-amerykańskich, natknąwszy się na te sznurki, sądzili, że są to amulety, odwracające nieszczęście i plagi. Dopiero badania XIX stulecia pozwoliły odkryć ich prawdziwą tajemnicę. Sznurki te nazwane zostały „arpachteunta".



Literatura pięknej pani

Nie mam cyfr pod ręką, nie wiem, ile słów wyrzucają co minuta tłocznie całego świata, wiele bel papieru zaczerniamy co godzina, ile tomów przypada na głowę mniej więcej dojrzałego mieszkańca krajów cywilizowanych.

Wiem natomiast, że taki mieszkaniec — bez względu na wiek, stan, fach, płeć — od wczesnego rana do późnej nocy nic właściwie innego nie robi, tylko układa wyrazy z liter, sylabizuje.

Przy śniadaniu czytamy gazetę. Już na pierwszym rogu ulicy magistrat, urząd skarbowy, urząd wojskowy kiwają na nas i wołają wniebogłosy wielkiemi literami, żebyśmy przeczytali ich utwór najnowszy, bo inaczej czeka nas kara, grzywna, ruina majątkowa i śmierć cywilna. W tramwaju konduktor wręcza nam pewien druczek - bilet i wydaje reszty z innego zadrukowanego papierka - banknotu. Sylabizujemy przez cały dzień w biurach, redakcjach, fabrykach, kantorach, urzędach, a kiedy wieczorkiem — dla odpoczynku — idziemy do kina, każą nam czytać długie napisy na srebrnym na, każą nam czytać długie napisy na srebrnym ekranie. W domu zaś leży na stoliku nocnym powieść — 20 arkuszy bitego druku...

Gutenberg pobił wszystkie rekordy. Gdzieś tam — za dystansem — kusztyka lokomotywa, maszyna elektryczna, radjo, gramofon...

I ciekaw jestem, jak sobie potomni poradzą z lawiną papierową, z Niagarą drukowanej bibuły.

Prawdopodobnie powstanie nowa specjalność — lekarz literacki. Zbada pacjenta psychotechnicznie, wypuka, wymiętosi i powie krótko:

— Będzie pan czytał codzień, przed jedzeniem, jedną nowelkę Odyńdź - Bozobaczysza. Rano, zaraz po śniadaniu, dla zaostrzenia apetytu zalecam krótką odezwę magistratu o poborze rekruta albo obwieszczenie Kasy Chorych. Zabraniam stanowczo romansów kryminalnych i nie pozwalam na tabelkę loterji:

A może niektóre przynajmniej druki przeniesiemy do innej dziedziny — sąsiedniej — muzycznej, akustycznej? Orkiestra dęta wykona na placu arję „Mów do mnie jeszcze, ludzie nas nie słyszą" i to będzie oznaczało, że znów trzeba złożyć zeznanie podatkowe.

Patent — zamiast składać piętnaście formularzy paszportowych — zaśpiewa przed okienkiem w Komisarjacie Rządu: „Nie waż się pytać, nigdy, ni zdradą, ni podstępem" z Loengrina, co będzie dowodem wystarczającym, że ma kwalifikację na wyjazd...

Sprawa jest bardzo trudna.

Nikt nie może żądać odemnie, żebym sam jeden rozwiązywał najzawilsze zagadnienia.

Niech inni się trochę pomartwią.

Cześć bohaterom!

Dzienniki już przyniosły przed kilku dniami wiadomość o katastrofie samolotu „Marszałek Piłsudski" i tragicznym zgonie ś. p. majora Ludwika Idzikowskiego. Lotnictwo polskie a z nim i Polska cała okryła się żałobą.

Zanim dojdzie do nas szczegółowe sprawozdanie pozostałego przy życiu uczestnika lotu, majora Kubali, trudno wydać rzeczową opinję o istotnej przyczynie niepowodzenia lotu i tragicznej katastrofy. Jeśli wierzyć telegramom, lotników polskich zmusiło do lądowania wadliwe działanie motoru.

Jeżeli sobie przypomnimy, że i w ubiegłym roku wadliwy dopływ benzyny, czyli również wadliwe wykończenie silnika zmusiło Idzikowskiego i Kubalę do zaniechania lotu w połowie drogi, — nie daje to najlepszego świadectwa instytucji, odpowiedzialnej za należytą sprawność maszyny.

Ś. p. major Idzikowski był starym i rutynowanym pilotem. Niezależnie od pracy fachowej w wojsku mjr. Idzikowski przed lotem odbył szereg lotów próbnych, nieraz trwających po kilkanaście i więcej godzin. Wydaje się zatem prawie wykluczone, by defekt motoru był spowodowany nieumiejętnem obchodzeniem się ze strony pilota, — katastrofę spowodowała prawdopodobnie wada montażu lub materjału, wada, jakiej przewidzieć nie zdołają najbardziej udoskonalone metody kontroli.

Idzikowski uczynił wszystko co mógł — przygotował się gruntownie do lotu, przez długi szereg godzin walczył nad oceanem z nieprzyjaznym żywiołem, wreszcie zginął śmiercią lotnika, dając światu całemu świadectwo, że w szlachetnych zawodach o zwycięzenie Atlantyku polacy nie są na ostatniem miejscu i jeden z najszlachetniejszych synów Polski nie zawahał się życia swego postawić na kartę.

Idzikowski zginął. Samolot „Marszałek Piłsudski" leży zdruzgotany na dalekich wyspach Azorskich. Nie znaczy to jednak, by polacy zrezygnowali ze zdobycia Atlantyku. Stocznię lotniczą w Medjolanie opuszcza niebawem inna polska maszyna — „Polonia", na której pilot Klisz z nawigatorem Kowalczykiem ma podjąć jeszcze w bieżącym sezonie lot transoceaniczny z Baldonnel w Irlandji aż do Chicago w Stanach Zjednoczonych.

Tragiczny los majora Idzikowskiego głęboko dotknął Klisza, który w czasie wojny również służył w 7-ej eskadrze lotniczej. Nie zmieniło to jednak jego zamiaru. Przeciwnie, Klisz ze zdwojoną energją zabrał się do pracy, by możliwie najprędzej udać się z Medjolanu na miejsce startu do Irlandji.

Potępić należy w tem miejscu niecierpliwe a zjadliwe głosy paru dzienników, które podały w wątpliwość celowość przygotowań do lotu „Polonji" i domagających się... przyśpieszenia startu.

Klisz nie ubiega się o reklamę. W miarę postępu prac chętnie udziela informacji o przygotowaniach, boć sprawa lotu każdego polaka interesuje. Z drugiej strony konieczne jest informowanie o przygotowaniach Polonji amerykańskiej, która z drobnych składek ufundowała samolot.

Właściwa budowa samolotu jest oddawna ukończona. Tak samo i badanie jego właściwości posunięte jest bardzo daleko. Zwłoka w wykończeniu powstała wskutek wbudowania nowych silników cokolwiek większej mocy, niż te, na których dokonywano poprzednie próby. Lot „Polonji" może się odwlec na kilka dni, nawet na parę tygodni jeszcze, lecz odbędzie się w bieżącym sezonie według przewidzianego planu.

Nad „Marszałkiem Piłsudskim" „Polonja" ma tą przewagę, iż nie jest narażona na przerwanie lotu lub katastrofę wskutek defektu motoru. Rozporządzając czterema silnikami, „Polonja" jest w stanie kontynuować lot w razie defektu jednego a nawet i dwuch z pośród nich.

Costes, „as" francuskiego lotnictwa, który wystartował wślad za „Marszałkiem Piłsudskim" i po dwudziestu siedmiu godzinach zmagania się z wiatrem powrócił do Francji, oświadczył, że wolałby dziesięć razy lecieć z Ameryki do Europy, niż raz w tamtą stronę. Fachowa opinja świetnego lotnika nie stwarza różowych perspektyw przed polskimi lotnikami, tembardziej, że lecieć zamierzają oni t. zw. linją północną, na której panują wiatry jeszcze bardziej dla europejczyków niekorzystne i pozbawione zupełnie okrętów.



Płatowiec „Marszałek Piłsudski", na którym majorowie Idzikowski i Kubala porwali się do gigantycznego lotu Paryż — New - Jork. U góry: pilot Klisz zaopatrzył, się w combinaison pomysłu włoskiego inżyniera Faveri, przy pomocy którego w razie katastrofy może przez 14 dni pozostawać na powierzchni morza.

Klisz wszakże obrał tą drogę, licząc na niezawodność swego płatowca oraz wierząc w swoją szczęśliwą gwiazdę. Jeśli bowiem wiatry w drodze okażą się korzystne lub przynajmniej neutralne — samolot ma do przebycia nad oceanem przestrzeń „zaledwie" 3.200 kilometrńw. Dalsza droga od Nowej Szkocji do Chicago prowadzi nad lądem.

W myśl zasady „strzeżonego Pan Bóg strzeże", lotnicy będą zaopatrzeni w specjalne combinaison'y pomysłu włoskiego inżyniera Faveri. Ubrany w taki kostjum pilot każdej chwili może skoczyć do wody, przez specjalne komory nadmuchać powietrze w komory kauczukowe i przez 14 dni (o ile zapas żywności na to pozwoli) utrzymać się na powierzchni oceanu.

Dwa zasadnicze niebezpieczeństwa zagrażają w sezonie letnim lotnikom, udającym się nad Atlantyk: zbłądzenie i wyczerpanie zapasów benzyny. W zimie powstaje trzecie niebezpieczeństwo, obmarzanie skrzydeł maszyny. Zbłądzeniu lotników zapobiegną precyzyjne instrumenty, znajdujące się na pokładzie „Polonji", przedwczesnego wyczerpania zapasów benzyny trudno się spodziewać wobec obliczenia lotu na 2.000 kilometrów nad lądem amerykańskim.

Najbliższe już tygodnie przyniosą nam rozwiązanie zagadki Atlantyku i potwierdzą jeszcze raz zdanie, że niema ofiar, na które nie zdobyłaby się Polska dla wielkiej idei postępu cywilizacji.

Ignacy Kołłupajło.





Jedno z ostatnich zdjęć ś. p. majora Idzikowskiego i mjr. Kubali, na lotnisku Le Bourget w rozmowie z mechanikiem francuskim. (u góry). Płatowiec „Polonja", typu Caproni 75 z czterema silnikami Isotta Fraschini, na którym pilot Klisz z nawigatorem Kowalczykiem ma dokonać przelotu Baldonnel — Chicago. (u dołu).



FLY-TOX

TĘPI OWADY I ROBACTWO

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH SKŁADACH APTECZNYCH

NITA AKSTON.

Zabawka

Kazik siedzi w łóżeczku i zachowuje się cicho, bo w domu jeszcze śpią. Na kolanach ma zeszyt i rysuje w nim „kolejki". Zarysował prawie wszystkie kartki kreskami i kółkami, a „kolejka" nie wychodzi. Kazik wzdycha. Dobrze to było dawniej, kiedy mamusia mu rysowała. Ach, jakież to były „kolejki"! Długie, długie, po dziesięć, dwanaście wagonów, każdy wagon był innego koloru, każdy miał koła, w kołach szprychy, na dachu wentylatory, a w każdem oknie widać było pasażera. Przytem mamusia opowiadała tak ciekawie, że tu jedzie baba do miasta gąski sprzedawać, a tu ojciec synka do szkoły odwozi, a tam znów oficer powraca z urlopu do swego pułku. I lokomotywa była, i maszynista, i dym...

Teraz mamusia już nie rysuje. Śpi długo, potem leży, czasem nawet do obiadu. Dawniej co to było śmiechu z mamusią! A teraz nic. Chodzi smutna, a jeśli Kazik zbyt głośno się bawi, nie gniewa się, tylko mówi:

— Nie hałasuj, synku, mamusię głowa boli.

I tak ciągle mamusię głowa boli. Czasem znów bierze Kazika na kolana, pieści długo, całuje i płacze. Kazik wtedy strasznie cierpi, bo kocha mamusię i nie może widzieć jej łez. Samemu wówczas na płacz się zbiera, ale jest przecież mężczyzną, a dla mężczyzny płakać to wstyd.

Tatuś tak samo jest zupełnie inny. Dawniej umiał wymyślać takie zabawy, że Kazikowi aż dech zapierało z radości. Szczególnie wesoło było, kiedy tatuś chodził po podłodze na czworakach, a Kazik siedział na nim, jak na koniu i krzyczał: „W i o o!"... Koń parskał i wierzgał nogami, czasem zrzucał jeźdźca na dywan. Ach, jak było wesoło!

A teraz tatuś jest zawsze poważny i zamyślony, gładzi Kazika po włosach, a przytem spogląda nań tak dziwnie, że Kazika aż coś ściska koło serduszka.

A to wszystko dlatego, że tatuś i mamusia mają się „rozwieść". Powiedziała to kucharka, Janowa, i Kazik właściwie nie rozumie, co to znaczy. Wie tylko, że on, Kazik, pojedzie na zawsze z mamusią daleko, daleko, a tatuś zostanie. Kazik cieszy się, że pojedzie, bo strasznie lubi jechać kolejką, nie taką na niby, ale prawdziwą, z dużemi wagonami, w których można siedzieć i leżeć, a na przedzie jest olbrzymia lokomotywa z żywym maszynistą! Ale mimo to Kazik się smuci, bo zostawić tatusia bardzo mu ciężko. Wcale sobie nie wyobraża, jak to będzie bez tatusia...

Kazik znów wzdycha i znów próbuje rysować. Wreszcie odkłada zeszyt i wstaje. Wkłada pantofelki, bo mamusia gniewa się, jeśli stąpa boso po podłodze, i idzie do jadalnego. Na prawo jest sypialny i drzwi są zamknięte. Tam śpi mamusia. A na lewo jest gabinet i drzwi są uchylone. Tam śpi tatuś. Dawniej spali razem...

Kazik cichutko, na paluszkach, wchodzi do gabinetu. Zbliża się do szerokiej kanapy, chowa się pod poduszkę, na której spoczywa głowa tatusia. Dawniej tatuś lubił, gdy go tak budził. Wtem główka Kazika natrafia na jakiś twardy przedmiot. Zasuwa rączkę pod poduszkę i wyciąga... rewolwer! Jaki piękny! Prawdziwy, duży rewolwer... Kazik też ma rewolwer, ale jego jest na niby i strzela też na niby. A z takim to można pójść na wojnę i zabić



nieprzyjaciela. Twarz Kazika rozpływa się w uśmiechu. Obraca rewolwer w rączkach i dziwi się, że tatuś, jego dobry tatuś nic mu nie powiedział o tej cudownej zabawce. Widocznie strasznie musi ją kochać, kiedy chowa ją pod poduszkę. Kazik tak samo, jak bardzo jakąś zabawkę kocha, to na noc nie chce rozstać się z nią i trzyma pod poduszką. Kazik jest ciekawy. Niecierpliwi się. Chciałby wiedzieć, jak strzelać z tego rewolweru.

— Tatusiu, śpisz? — woła głośno nad samem uchem ojca.

Tatuś otwiera oczy, zrazu uśmiecha się, lecz spostrzegłszy broń w ręku dziecka wyrywa mu ją gwałtownie.

— Co robisz? Nie rusz tego. Słyszysz, Kaziku? Nigdy, nigdy tego nie ruszaj!

Kazik z trudem wstrzymuje łzy.

— Dlaczego?

— Nigdy, nigdy — powtarza tatuś dziwnym, drżącym głosem, potem mocno przyciska go do serca i całuje.

Kazik nie ma spokoju. Całą następną noc śni mu się rewolwer. Jest policjantem i ściga złodzieja. Złodziej ma długie nogi i biegnie okropnie szybko. Ale Kazik jest dzielnym policjantem i pędzi za nim co tchu. Złodziej przeskakuje przez płot. On za nim. Złodziej wdrapuje się na dom. On za nim. Złodziej zeskakuje z trzeciego piętra. Kazik skacze za nim.

Budzi się na podłodze. Tym razem musiał nabić sobie guza, bo go coś boli na czole. Ale to nic. Kładzie się z powrotem do łóżeczka, bo jeszcze noc. Ale spać nie może. Wciąż ma przed oczyma rewolwer tatusia. Schodzi na podłogę i nawet zapomina o pantofelkach. Bierze z półki swój rewolwer, ogląda go i odkłada z pogardą. Idzie cichutko do jadalnego. Drzwi do gabinetu, jak zwykle, nie są zamknięte. Skrada się tak, by tatusia nie obudzić. Sięga pod poduszkę... Jest!

Szczęście Kazika nie ma granic. Weźmie rewolwer do swego pokoju, pobawi się nim trochę i odłoży z powrotem pod poduszkę. Znów stąpa cichutko i ostrożnie, bo w pokoju jest ciemno. Wtem zawadza o ciężki fotel. Przeraźliwy huk ogłusza Kazika... Rączka!!! Och, jakże strasznie boli go rączka!

Kazik otwiera oczy. Musiał długo spać. Bardzo długo. Łóżeczko jego stoi w sypialni. Rączkę ma zabandażowaną i czuje się okropnie słaby. Obok niego siedzą tatuś i mamusia. Tatuś obejmuje mamusię i całuje ją w głowę. Tak, jak dawniej. A mamusia cała wtulona w jego objęcia. Zupełnie, jak dawniej. Tylko, że oboje płaczą. Tak samo siedzieli przy nim i płakali, kiedy chorował na szkarlatynę. Słyszy jak tatuś mówi do mamusi: „Dziecinko". Jak dawniej...

Kazikowi zbiera się też na łzy, ale takie dobre, słodkie łzy. Wie już napewno, że nie wyjadą z mamusią i że tatusia nie zostawią. Wielka radość rozpiera jego małe serduszko. Błogi uśmiech występuje na wychudłej, bladej twarzyczce.

Rodzice zauważyli, że nie śpi. Pochylili się nad nim.

— Synku, jak się czujesz? Boli bardzo?

— Boli... Ale to nic... To takie przyjemne...

Czy wiecie że...

...Polska posiada ponad 34 tysiące policjantów, z czego na wsi 1 na 1458 w mieście 1 na 404 mieszkańców. O ofiarnej służbie naszej policji świadczy fakt, że w ciągu dziesięciolecia istnienia Polski położyło życie w obronie bezpieczeństwa 451 policjantów.

*

...90 letni miljarder Rockefeller prowadzi bardzo skromny tryb życia. Miewa jednak i on swoje kosztowne zachcianki. Oto niedawno kazał zburzyć wieś Cast View, która mu zasłaniała widok z pałacu i zapłacił za to 700 tysięcy dolarów.

*

...Nowy Jork posiada 25 tysięcy taksówek, wypuszczanych przez firmy dorożek samochodowych. Jedna z takich firm posiada aż 3000 taksówek i twierdzi, iż każdy wóz musi przebyć w ciągu roku conajmniej 65 tysięcy kilometrów.

*

...bawi obecnie w Rosji delegacja niemieckich techników, która opracowuje projekt kanału Wołga — Don.

*

...Msza święta w hydroplanie odbyła się poraz pierwszy kilka tygodni temu z okazji przewożenia duchownych z Hiszpanji do Rzymu.

*

...w ciągu ostatnich dwóch miesięcy wyemigrowało z Polski ponad 90 tysięcy osób, powróciło zaś do Polski niespełna cztery tysiące osób. Największa ilość emigrantów kierowała się do Niemiec względnie do Francji na roboty rolne.

*

...do dnia 1-go czerwca było w Warszawie 7881 samochodów, z czego 2974 taksówek, 2931 prywatnych osobowych, 1175 ciężarowych, 637 motocykli, 71 autobusów i 56 samochodów specjalnych.

*

...sensację wzbudziło oświadczenie b. czeskiego szefa sztabu generalnego Gajdy, który twierdzi, że mimo wszystko car Mikołaj II-gi zdołał ujść rzezi, zgotowanej rodzinie carskiej w Jekaterynburgu.

*

...państwa, prowadzące wojnę zatrudniały podczas wojny światowej 45 tysięcy szpiegów. Z tego zginęło podczas wykonywania swoich obowiązków przeszło 10 tysięcy szpiegów, czyli 20%. Jest to cyfra większa, aniżeli w wojsku linjowym, gdzie straty wojenne nie przenosiły 19%.

W. PERZYŃSKI.

Przygoda w lipcu

Znajomi, którzy wynajęli na lato willę w Urlach, kilkakrotnie zapraszali Pestkiewicza, żeby się do nich wybrał na jakąś niedzielę. Przez szereg tygodni coś mu stawało wciąż na przeszkodzie. A to był deszcz a to się z kimś umówił w Warszawie. Wreszcie w połowie lipca zdobył się na energję. Kazał się zbudzić rano — był tak zmechanizowany w przyzwyczajeniach, że w niedzielę sam by się nie obudził i o wpół do ósmej zajechał tramwajem przed dworzec.

Odrazu ogarnęło go przerażenie. Ogon przed kasą biegł wzdłuż całej sali aż do wyjścia i ze trzy razy zakręcał. Pestkiewiczowi wypadło miejsce już prawie na schodach z ulicy. Zrozumiał, że w ten sposób mógłby czekać do wieczora i postanowił radzić sobie inaczej. Kupił peronówkę i wydostał się do pociągu. Mimo że do odejścia pozostawało jeszcze przeszło trzy kwadranse wszystkie wagony były szczelnie zatłoczone. Idąc od przedziału do przedziału, zaglądał bezradnie w otwarte drzwiczki i wciąż waliły mu się na głowę krzyki:

— Niema miejsca!

Z początku cofał się odrazu, poczem próbował się sprzeczać i przekonywać, aż wreszcie, doprowadzony do furji, przemocą zaczął się wtłaczać do wagonu. Okazało się, że nie był to jeszcze najbardziej zatłoczony przedział tylko że chytrzejsi pasażerowie naumyślnie zgrupowali się koło drzwiczek. Kiedy Pestkiewicz to spostrzegł, ogarnęła go taka wściekłość, że gotów był bić, gryźć i kopać. Ten stan jego duszy widocznie drogą odczuć podziałał na symulantów tłoku, pomiękli i wpuścili go do środka. Wzamian za to Pestkiewicz odrazu się z nimi zsolidaryzował. Najzajadlej zaczął bronić dostępu nowym amatorom jazdy:

— Pocóż się pan pcha, czy pan oczu nie ma... przecież my już i tak siedzimy tu sobie na głowach.

Ale człowiekowi trudno jest zwyciężyć w walce z żywiołem. Na minutę przed odejściem pociągu Pestkiewicz musiał się cofnąć przed naporem rozpasionych ciał, które pchały się do przedziału i równocześnie walczyły z sobą. Atak był tak błyskawiczny, że Pestkiewiczowi zaćmiło się w oczach. W tej samej chwili ktoś z zewnątrz zatrzasnął drzwiczki, pociąg szarpnął gwałtownie, Czarliński uderzył kolanami o czyjeś kolana, łokieć ugrzązł w miękkiej piersi, głową stuknął o cudzą głowę i zastygł w niemem uczuciu, na które się składało ogłupienie i przerażenie.

Tuż przed nim dotykając nieomal twarzą jego twarzy stała panna Karolina, urzędniczka pewnej prywatnej instytucji, wysoka szczupła brunetka o wężowatych linjach i namiętnym wyrazie oczu rozmarzonych w tej chwili jakąś dziką, bezgraniczną, piekielną nienawiścią. Pestkiewicz zamrugał kilka razy oczami niepewny przez sekundę czy miał przed sobą rzeczywistą, żywą postać — czy też straciwszy z gorąca i braku powietrza przytomność podlegał chorobliwej wizji.

Od pół roku zatruwała mu spokój jedna jedyna obawa — spotkania panny Karoliny. I było to aż nadto zrozumiałe wobec pogróżek, jakich nie szczędziła mu w Urlach dawna, porzucona kochanka.

— Gdziekolwiek cię spotkam, łajdaku możesz być pewien skandalu, nie cofnę się przed niczem i nie ulęknę żadnych następstw, w teatrze, w restauracji, w tramwaju, w wagonie, na ulicy, w kościele. Sama się skompromituję, ale ciebie na taki wstyd narażę, że ci nikt ręki nie będzie podawał i opinja cię ogłosi za wyrzutka społeczeństwa — zamajaczyło mu w oczach równe kaligraficzne pismo urzędniczki.



Dzielna amazonka woli wycieczkę na grzbiecie rumaka aniżeli w kolejce... wilanowskiej.



Spotkanie na wycieczce.



W zgrabnem canoe jakże przyjemnie jest we dwoje płynąć.

Chciał się instynktownie cofnąć, ale tak go uciskali z tyłu, że najmniejszy ruch był niepodobieństwem. Panna Karolina odchyliła głowę, ale również nie mogła powstrzymać naporu dwóch osób stojących za nią i mimo konwulsyjnych drgawek, jakiemi starała się oswobodzić, nie mogła się od Pestkiewicza oderwać. Szczelnie przylegali do siebie ciałami. Pestkiewicz wyczuwał jej kolana, piersi, brzuch. Przymknął oczy i czekał.

I nagle usłyszał cichy szept:

— Ja w Zielonce wysiadam...

Otworzył oczy.

Wzrok panny Karoliny się zmienił. Zamiast nienawiści, była w nim tkliwość. Znany Pestkiewiczowi głęboko tkliwy wyraz, który go zawsze rozbrajał. I rozbroił go w tej chwili.

Porzucona kochanka wydała mu się znów tak ponętna i ładna, że właściwie przestał rozumieć dlaczego zerwali.

Uśmiechnął się nieśmiało.

Panna Karolina odpowiedziała mu uśmiechem.

— A pan gdzie wysiada?

— Razem wysiądziemy — odparł jaknajnaturalniejszym tonem.

Przeczekali pół godziny do pociągu i wrócili razem do Warszawy..



Wyznawcy „Wielkiego Manitou"

Każdy z nas pamięta te chwile, kiedy zaszyty gdzieś w kąt mieszkania tonął w awanturniczej powieści o indjanach. Powieści te, o mniejszej lub większej wartości literackiej, miały za zadanie zainteresować i bawić młodocianego czytelnika, nieścisłości zaś historyczne i geograficzne, któremi były wprost naszpikowane, dawały błędny obraz prawdziwych wydarzeń oraz tragedji rasy czerwonej, jak również jej zwyczajów i kultury.

A jednak indjanie nie byli owymi dzikimi i krwiożerczymi wojownikami Karola May'a, z nielicznemi zaledwie wyjątkami szlachetnych Winnetou. Był to naród z natury łagodny, gościnny, któremu biali zdobywcy odpłacili złem, oraz szczepionkami cywilizacji jakiemi są chciwość, zbrodnia i wódka.

Historjografowie indjan amerykańskich znajdują olbrzymie luki i trudności w swych badaniach. Luki te powstały na skutek zbyt intensywnego tempa wymordowywania „dzikich" czerwonych przez „kulturalnych" białych. Jednakże te ułamki wiadomości jakie zdołano zebrać z wielkim mozołem, pozwalają na bliższe i wiarygodniejsze poznanie zamierającej rasy.

*

Indjanie, którzy kiedyś obficie zaludniali góry i sawanny dzisiejszych Stanów Zjednoczonych i Kanady, podzieleni na kilka zasadniczych grup i tysiące drobnych plemion, posiadali wspólną religię, jednakowy ustrój społeczny, oraz wspólną jednostkę monetarną.

Religją ich była wiara w „wielkiego ducha, Manitou". Wiara w „Manitou" była zupełnie różną od innych wiar świata, a różnica ta polegała na tem, że o ile w innych religjach istota bóstwa była *kimś*, o tyle u czerwonoskórych była *czemś*, pojęciem abstrakcyjnem, niewymiernem, nieobjętem zmysłami. To *coś*, które wywierało swój wpływ na dzieje świata nie mogło być niczem wyobrażone, dlatego też nigdzie w Północnej Ameryce nie udało się wynaleść podobizny „wielkiego ducha". Podobizna ta żyła tylko w wierze i w sercach czerwonego ludu, kający się przed nieznaną i tajemniczą potęgą.

Prócz „wielkiego ducha" istniały „Manitou" mniejszej wagi i znaczenia, przyczem były one związane z pewną okolicą, górą, rzeką, drzewem, kamieniem i t. p.

Zakres ich działania dotyczył jedynie ściśle określonego przedmiotu. Te pomniejsze duchy były bardziej łatwe do ujęcia zmysłowego, ponieważ miały bezpośredni wpływ i kontakt z ludźmi. Dlatego też jako codzienni niemal towarzysze człowieka, otrzymali od niego imiona. U Irokerów słynął *Wakan*, u Sioksów *Orenda*, u Apaczów *Tschakenapenok*. Bożkowie ci jako istoty bezcielesne, pomimo fantazji jakim się zawsze odznaczają umysły pierwotne dla wyobrażenia świata niematerjalnego, nie posiadali również swoich podobizn. Natomiast wyroki tych „Manitou" były widzialne dla każdego wtajemniczonego, wyroki obwieszczane wiernym za pośrednictwem świata zwierzęcego. Orzeł frunący z rozczapierzonemi szponami oznaczał zbliżanie się burzy, biegnący zając zwiastował poranek, spadająca sucha gałąź śmierć jednego z obecnych.

Najciekawszem w religji indjan jest sposób traktowania „Manitou". „Wielki Duch", wspólne bóstwo wszystkich czerwonych, był istotą nietykalną słowem i myślą. Była to najświętsza świętość, przed którą schylali kornie swoje czoła wszystkie wrogie sobie szczepy. Natomiast „Manitou" lokalni byli lżeni lub chwaleni zależnie od humoru, potrzeb i okoliczności. Nieprzyjacielskie szczepy poniewierały bogami swych przeciwników, broniąc się jednocześnie przed ich zemstą amuletami otrzymywanemi od swych lekarzy-wróżbitów.

Obrzędy religijne dawnych indjan polegały przeważnie na tańcach, śpiewach i muzyce. Odprawiane w ten sposób „nabożeństwa" odbywały się w sposób następujący: na środku wioski, na olbrzymim placu ustawiano „słup śmierci" z przywiązanym doń jeńcem z nienawistnego plemienia. Dokoła zbierała się cała ludność z kobietami i dziećmi na czele. Wróżbiarz ubrany w dziwaczny strój, obwieszony amuletami, brzękadłami i skórami dzikich zwierząt rozpoczynał rytmiczny taniec, zawodząc przytem żałosnym tonem pieśń do „Wielkiego Ducha". Śpiew i taniec, nabierał coraz to gwałtowniejszego tempa, które wreszcie przekształcało się w orgję ryku i drgawek podobnych do delirjum tremens. Ryk wróżbiarza łączył się ze śpiewem skazańca, który żegnał się ze światem pieśnią śmierci. Pieśń śmierci — spokojne i męskie zachowanie się wobec nieuniknionego losu, miała być świadectwem dla „wielkiego ducha", że jeniec jest godnym uzyskania wstępu do mitycznego świata wiecznych łowów.



Tłum asystujący „nabożeństwu" zachowywał grobowe milczenie, obserwując uważnie zachowanie się jeńca i wróżbiarza. Scena ta miała charakter prawdziwie dantejski, przyczem ofiara i oprawca wznosili modły do wspólnego bóstwa. W pewnym momencie śpiew się urywał i następowała druga część tej „czerwonej mszy" polegającej na powolnem mordowaniu jeńca. Operacja ta odbywała się w niesamowitem milczeniu, z ust jeńca nie wydobywał się jęk bólu, gdyż jakakolwiek z jego strony oznaka boleści rzucała infamję nietylko na niego, ale i na cały szczep.

Obrzęd kończył pogrzeb ofiary, przyczem z chwilą jej śmierci, nienawiść plemienia ustępowała czci dla zmarłego, którego grzebano w pełnym rynsztunku wojennym i wszystkiemi wojennemi trofeami.

Drugą świętością dla indjanina prócz wiary „w Wielkiego Ducha" było posiadanie imienia oraz gusła, które mu to imię nadawało. Obrzęd otrzymywania gusła i imienia czyli tak zwanego „totemu" wymagał dużego przygotowania zarówno fizycznego jak i duchowego. Młodzieniec, który chciał otrzymać „totem" porzucał wioskę rodzinną i udawał się w odludne miejsce, gdzie poszcząc i umartwiając się doprowadzał się do stanu półprzytomnego. W gorączce nawiedzały go przeróżne wizje i sny, wśród których najczęściej powtarzający się przedmiot miał być jego „totemem". Zdarzały się nieraz „totemy", które wymagały naprawdę nadludzkiej energji, odwagi i sprytu by je zdobyć. Zdobycie „totemu" polegało na dostarczeniu wróżbicie plemiennemu przedmiotu względnie osoby widzianej w snach i widzeniach. Trudność cała tkwiła w tem, że należało dany przedmiot pochwycić własnemi rękoma, bez uciekania się do pomocy jakiegoś narzędzia lub broni. Mając naprzykład zdobyć „totem" z bawoła indjanin wyszukiwał jego ścieżkę do wodopoju, poczem rękoma wykopywał dół, maskował go chróstem i gałęźmi pilnując cierpliwie, nieraz przez długie tygodnie, aż upatrzona ofiara wpadnie w zasadzkę.

Wróżbita plemienny otrzymawszy od indjanina „totem" preparował go w ten sposób, że wyjmował ze zwierzęcia serce, spalał je, proszkował i zaszywał w woreczek z garbowanej skóry. Woreczek ten zawieszał wojownikowi na szyji, pasując go w ten sposób na mężczyznę.

Przywiązanie do „totemu" dochodziło do tego stopnia, że w razie jego zgubienia, lub odebrania przez wroga indjanin nietylko tracił imię, ale był uważany za zwierzę i wyrzucany ze społeczeństwa plemiennego. Dopiero zdobycie totemu od innego wojownika przywracało mu imię i prawa społeczne.

Był to dosyć oryginalny sposób pojmowania honoru osobistego, świadczący jednak o bardzo wyrobionem poczuciu szlachectwa charakteru.

Dziwaczne imiona indjan o jakich czytywało się w książkach dla młodzieży, nie były czczą fantazją. Składały się one z dwuch słów z rzeczownika i przymiotnika, przyczem rzeczownik pochodził od nazwy „totemu" przymiotnik zaś określał charakter wojownika.

Z czasem „totem" zidentyfikował się w pojęciu czerwonych z duszą; wojownik, którego pochowano po śmierci bez „totemu" nie miał wstępu do krainy wiecznych łowów i musiał się wiecznie tułać w miejscu gdzie zagrzebano jego ciało.

Początek religji czerwonych, tak jak wogóle każdej religji pogańskiej pochodzi zapewne od czci potęg przyrody, które wywierały lęk i grozę na prymitywne umysły. Bardziej przedsiębiorcze jednostki, obdarzone sprytem i chytrością, utworzyły z religji źródło dochodowe, wprowadzając cały szereg własnych inowacyj i praktyk, mających na celu wyłudzanie datków od bezkrytycznych indjan.

Samozwańczy ci kapłani będący z urodzenia szarlatanami i kuglarzami doszli do tak wielkiej czci u czerwonych, że w końcu stali się prawdziwymi dyktatorami rozstrzygającymi bezapelacyjnie najzawilsze sprawy. Wszystkie wojny pomiędzy czerwonymi i białymi oraz pomiędzy szczepami, były właściwie wojnami tych potężnych kuglarzy, którzy pchali tysiące swych braci na rzeź dla własnych, ukrytych celów.

Sprytni biali zdobywcy wchodzili niejednokrotnie w kontakt z lekarzami plemion; sowicie ich opłacając wszczynali wojny międzyplemienne godząc potem powaśnionych indjan i odbierając im ich ziemie.

W ten sposób wyniszczały się szczepy wzajemnie nie podejrzewając, że jest to wodą na młyn dla przybyszów ze wschodu.

Był to dosyć oryginalny sposób pojmowania honoru osobistego, świadczący jednak o bardzo wyrobionem poczuciu szlachetności charakteru.

W ten sposób zginęła rasa czerwonych, dawnych panów Ameryki, których umiłowanie do wolności i swobody nie mogło zgodzić się z cywilizacją.

A był to kiedyś naród wielki, mężny i o pięknej swoistej tradycji. (z.)





Letnia wystawa Szkoły Sztuk Pięknych



Alf. Karny.
Pracownia Prof. Breyera.



Ogólny widok sali Prof. Tichy.



E. Fierk.
Pracownia Prof. Breyera.



Al. Żyw.



Ant. Łyżwański.
Pracownia Prof. Prószkowskiego.



Z. Jurkowski.

Psia historja

Gin — był to mały wstrętny psiak. Szary i kudłaty. Każdego ranka, pani jego kąpała go w pięknej marmurowej wannie. Szczotkowała i nacierała pachnącą wodą kolońską. Gin był bardzo przywiązany do swojej pani i swego pana, przywiązany był również do ich przyjaciół. Jednego z nich tylko nie cierpiał — pałał do niego ukrytą nienawiścią — wuja Jerzego, który zawsze w nieobecność pana domu obcałowywał jego żoneczkę. Gin był bardzo pojętny. Zczasem nauczył go pan codziennie punktualnie o 11-ej wieczorem przynosić sobie do gabinetu ranne pantofle i pyjamę. Bo pan był bardzo solidny i wcześnie kładł się spać, a Gin miał świetną pamięć. Czy goście byli w domu czy też nie, Gin wykonywał swój obowiązek zawsze bardzo skrupulatnie. A gdy przyjęcia u pani przeciągały się do późnej godziny, Gin zjawiał się niespodzianie o właściwej porze i, niosąc w swej kudłatej mordce nocne ubranie swego pana, dawał znak, że czas już odejść.

Gin był zdania, że nieoczekiwane wyjazdy jego pana wprowadzają zawsze zamęt do jego nawyknień, a już do ostatecznej pasji doprowadzało go, gdy głaszcząc jego kudłaty łeb na pożegnanie, pan zawsze mawia do niego: „nie zapominaj o swym tatusiu... Tylko na jeden tydzień zwalniam cię od twoich obowiązków".

Wuj Jerzy przyszedł jak zwykle w czwartek z wizytą. Gin leżał na jedwabnej poduszce i mierzył gościa nienawistnym wzrokiem. Widział bowiem, że tym razem wujek był jeszcze czulszy niż zwykle dla żony „tatusia". Musiało zajść między nimi coś niezwykłego, gdyż pani, mocno podniecona, chodziła po pokoju tam i zpowrotem.

Niewiadomo, czy pamięć tym razem zawiodła Gina, czy też obecny wyjazd pana uważał za żart, dość, że przyzwyczajenie zwyciężyło pamięć małego wstrętnego psiaka. Gdy zegar wybił godzinę 11-tą, Gin przywlókł w mordce pyjamę i ranne pantofle swego pana, ułożył je w pokoju na dywanie i wrócił na swą poduszkę... Zaś wuj Jerzy uznał to za zrządzenie losu i... nie poszedł do domu.

Podczas ośmiodniowej nieobecności „tatusia", Gin przyzwyczaił się do tego stopnia, że codziennie oddawał podobne usługi wujowi Jerzemu, który w międzyczasie jednak przyniósł do domu państwa swoją własną pyjamę. Złość dla wujka Jerzego osłabła, biszkopciki, któremi go częstowano, zrobiły swoje.

W niedzielę pan powrócił do domu. Nieoczekiwanie wszedł do gabinetu, czule przywitał swoją młodą żonkę, przyjaźnie ścisnął rękę obecnego wuja Jerzego. Siedzieli wszyscy we troje mile gawędząc, gdy wtem wybiła godzina 11-ta.

— No, Gin, miejmy nadzieję, żeś nie zapomniał o swych obowiązkach — zaśmiał się pan, i pieszczotliwie pogłaskał psa po karku.

Gin zastanawiał się przez chwilę. Widać było, że sobie coś przypomina, a raczej rozważa w swym psim mózgu. Co zrobić, komu i co podać? I jak to wykonać, żeby nikogo nie zmartwić...? Nagle błysnęła mu zbawcza myśl. Zaszczekał krótko i poczłapał do sypialni. Jednym skokiem był w łóżku, gdzie leżała starannie przygotowana, jedwabna pyjama jego pana. Tę zabrał pierwszą, potem jednak wlazł pod bieliźniarkę i wyciągnął ukrytą tam nocną bieliznę wuja Jerzego.

Chwilę stał niezdecydowany przed drzwiami gabinetu, wreszcie wszedł krokiem majestatycznym i obok wuja Jerzego złożył na dywanie jego własność. Ale zanim zdążył podejść do swego pana, pani zemdlała.

No, no, Gin! Bomba pękła! Skandal! Rozwód! Wstyd, Gin!!!

(przekł. M. S-ny).

Roskosze plaży



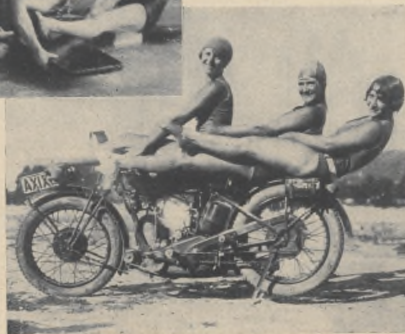


Jakże roskosznie się zanurzyć w chłodnej, czystej wodzie



Gimnastyka na świeżem powietrzu — to zdrowie (u góry). Zabawa „piłeczką" znajduje zawsze liczne rzesze amatorów (u dołu). (Wide World).





Słońce, woda i powietrze sprzyjają w pomysłowości wynajdywania nowych, dziwacznych sportów. Pływanie na desce i jazda we trójkę na motocyklu daje miły dreszczyk nieznanych wrażeń. (Wide World)



Nawet „mistrz powagi" Buster Ke[illegible] roześmiał się, niosąc na barana promienną Marcel[illegible] Day. (Metro Julfilm)



Niedyskretny objektyw aparatu [illegible]graficznego przerwał miłą drzemkę mo[illegible]nej syreny





Naprzód! w zawody z falami! Kto prędzej dobiegnie do brzegu (u dołu), a może lepiej na specjalnym pływaku (u góry). (Wide World)



Bierzcie przykład wszystkie panie dbające o swoją linję. Sędziwa Martha Schilling kąpie się codziennie w morzu nawet przy 3 stopniach Celsjusza. (Atlantic).





Zaślubiny z morzem przyszłego, dzielnego marynarza, sprawiają mu prawdziwą satysfakcję (u góry). Słońce — słońcem, ale trzeba przecież dbać o piękno cery. Opalony koniec noska, to prawdziwe nieszczęście dla wytwornej damy (u dołu). (Wide World)

Na marginesie mapy



W prasach statystycznych, tak bardzo potrzebnych dla rozwoju przemysłu i handlu, opracowanie jednej kolumny, wykazującej naprzykład eksport, lub import pewnego towaru do kraju, wymaga często skrupulatnych, całorocznych notowań. Takiego pewnego rodzaju tablicami statystycznemi są również mapy geograficzne. Łączą się w nich bowiem wyniki poważnych studjów nad ruchem ludności, (gdyż odpowiednio do ilości mieszkańców każde miasto ma odpowiedni znak), z wynikami mozolnych prac mierniczych, określających rozmieszczenie miast, miasteczek i wsi, oraz topografję danego kraju.

Zwykle nie zdajemy sobie sprawy ile pracy potrzeba do zestawienia jednej mapy i że kupując taką mapę nabywamy tanim kosztem owoc tysięcznych pomiarów mierniczych, dokonywanych przez geodetów i astronomów.

Ostatnio zasłużona w wydawnictwach naukowo-popularyzacyjnych i kartograficznych „Książnica Atlas" wydała wielką topograficzną, komunikacyjną i administracyjną mapę Polski, która w dziedzinie kartografji jest prawdziwem arcydziełem, dokonanem pod światłem kierownictwem zasłużonego wybitnie profesora E. Romera.

Mapa jest zestawiona w skali 1 : 600 000, t. zn. jeden centymetr na mapie odpowiada 6 klm. w rzeczywistości. Tak wielka skala czyni mapę tą nadzwyczaj dogodną przy wycieczkach automobilowych, zwłaszcza, że najmniejsze nawet miejscowości są na niej naznaczone.

Dla udogodnienia poszukiwań ułożono specjalny skorowidz miejscowości, umożliwiający odszukania najmniejszych nawet zakątków Rzeczpospolitej i Wolnego Miasta Gdańska.

Skorowidz obejmuje blisko 200 stronic druku, a ponieważ na każdej stronicy jest około 150 nazw miejscowości, więc około 30 000 miast, wsi, wiosek, a nawet „dziur", uwieńczono na mapie.

Odnalezienie danej nazwy na mapie umożliwiają czerwone litery i liczby, położone w dziesięciominutowych odstępach szerokości i długości, odgraniczających pola o powierzchni około 230 klm. kwadratowych. Aby przeto odnaleźć miejscowość szukaną, należy przeprowadzić w myśli linje równoległe do południków i równoleżników, w punktach wskazanych przez literę i liczbę. Linje te wskażą na mapie pole długości około 3 cm, szerokości około 2, w którem leży dana miejscowość!

Ciekawem jest, jak często powtarzają się nazwy niektórych miejscowości. Jest więc w Polsce naprzykład 22 miejscowości zowiące się Aleksandrów, 46 — Dąbrowa, 44 — Dąbrówka, 44 — Nowa Wieś, 52 — Wólki, 43 — Ostrów. Rekord jednak zdobywają Nowosiołki i Zalesia, nazwy ich powtarzają się 63 i 60 razy!

Jakże szczęśliwi są mieszkańcy tych miasteczek i wiosek, rozsypanych po całym terenie kochanej naszej Ojczyzny! Jeślj ktoś bowiem napisze list, nie określając bliżej w jakim Zalesiu, lub w jakich Nowosiółkach mieszka adresat, mogą się ewentualnie spodziewać po pół roku doręczenia życzeń imieninowych licząc trzy dni daremnych poszukiwań w każdej miejscowości! A może nawet wogóle do nich listy nie dochodzą, giną wiecznie w kieszeniach jegomościów o takich samych lub podobnych nazwiskach, a mieszkających w innych jakichś Nowosiółkach, lub Zalesiu.

Wróćmy jednak do naszej mapy. Cały sztab uczonych pracował 8 lat nad samą jej redakcją, a wydawnictwo wypłaciło 70 000 złotych kosztów redakcyjnych. Jest to suma bajońska jeśli pamiętać będziemy o szczupłości honorarjów autorskich.

Warto przy tej sposobności wyjaśnić w jaki sposób powstają mapy.

Jak wiadomo, położenie danej miejscowości na powierzchni Ziemi określa długość i szerokość geograficzną, podobnie jak nazwa miasta, ulica i numer domu składają się na dokładny adres.

Długość i szerokość geograficzną wyznaczają astronomcwie zapomocą mozolnych i nader skrupulatnych obserwacyj gwiazd, przyczem dokładność pomiarów jest tak wielka, że gdyby naprzykład przeprowadano je powiedzmy w środku Sahary i gdybyśmy obok lunety astronoma upuścili szpilkę, to oileby wiatr nie uniósł tego drobnego, stalowego pręcika, po kilku latach moglibyśmy go odszukać i zwrócić właścicielowi.

Oczywiście nie każdy punkt mapy określa się astronomicznie. Przeważnie obserwatorja określają w tak precyzyjny sposób tylko położenie lunety głównej. Dla określenia innych miejscowości dokonuje się pomiarów wielkich trójkątów, których jednym wierzchołkiem jest pewne obserwatorjum; łatwo wtedy znaleźć współrzędne geograficzne pozostałych wierzchołków, od których następnie posuwa się „tryangulacja" dalej zakrywając cały kraj siecią trójkątów.

Równocześnie przeprowadza się „niwelację", czyli wyznacza się wysokość danych okolic ponad poziomem morza.

Jak mozolna jest ta praca niechaj pouczy nas jeden przykład. W lecie roku 1923 uruchomił Narodowy Instytut Astronomiczny naukową wyprawę, której celem było przeprowadzenie ścisłej niwelacji wzdłuż szosy łączącej Kraków z Warszawą. Wyprawa składała się z trzech osób personelu naukowego, oraz pięciu żołnierzy przydanych do pomocy. W ciągu pięćdziesięciu dni zdołano zniwelować tylko 41 kilometrów, czyli linję Kraków — Miechów.

Gigantyczna wprost praca zespolona jest na małym skrawku płótna, symbolizującym naszą Rzeczpospolitą, praca, której energja dorównuje może energji zużytej ongiś na budowę olbrzymich piramid Cheopsa lub Chefrena.

Często stoimy obok monumentalnych dzieł myśli i genjusza współczesności, przechodzimy obok nich nie zwracając na nie uwagi, nieświadomi twórczej pracy nieznanych bojowników nauki.

Dr. F. Burdecki.

Przyjaciele człowieka

„Pokaż mi, jak się obchodzisz ze zwierzętami, a powiem ci, kim jesteś". Tylko zły człowiek nie lubi zwierząt, zwłaszcza domowych, tych najwierniejszych przyjaciół, danych mu przez Stwórcę.

Toussenel, który poświęcił całą księgę *„Duszy Zwierząt"*, umieścił na jej wstępie zdanie następujące:

„Na początku Bóg stworzył człowieka, a widząc jego słabość, przydał psa do boku jego".

Montaigne w swych słynnych *„Essais"* tak wyraził się o „naszych młodszych braciach — zwierzętach":

„Niema większej odległości między jednym a drugim człowiekiem, niż między człowiekiem a zwierzęciem".

Na innem miejscu dodaje:

„Zwierzęta, podobnie jak człowiek, są obdarzone duszą rozumną".

Victor Hugo jest autorem następującego aforyzmu:

„Pies — to cnota, która, nie mogąc się stać człowiekiem, przyjęła kształt zwierzęcy".

Pascalowi przypisują tak dziś popularny aforyzm:

„Im lepiej poznaję ludzi, tem więcej kocham mego psa".

Słynny powieściopisarz francuski, *François Coppée*, uwielbiał koty i posiadał kilkanaście sztuk tych „drapieżców", pisząc o nich:

„Koty są memi towarzyszami, memi dziećmi. W towarzystwie ich nigdy nie czuję się samotny".

Mery jest autorem tego ciekawego aforyzmu:



„Bóg stworzył kota, aby dać człowiekowi roskosz tygrysiej pieszczoty".

Również *Prosper Merimée* był wielkim przyjacielem kotów. „Nie poniżam się w mej ludzkiej godności — zwykł był powtarzać — przypisując kotom inteligencję". Zaś mając na myśli swego własnego ulubieńca, dodawał rozczulony:

— Jakiż on mądry!

Lecz najbardziej może wzruszającym dowodem miłości ludzkiej dla zwierząt jest *„Prośba konia"*, którą kilka lat temu z rozporządzenia szefa policji w N. Jorku rozmieszczono we wszystkich stajniach. Brzmi ona jak następuje:

„Zwracam się do ciebie, o panie mój, z prośbą wielką. Dbaj o mój pokarm i mój napój. Po ciężkim trudzie i znoju zapewnij mi schronienie w czystej stajence. Przemawiaj do mnie i kieruj mną głosem, bo słowo działa na mnie pewniej, niż lejce lub bat. Nie odmawiaj mi pieszczoty, naucz mnie pracować z dobrej woli. Nie bij mnie, kiedy droga idzie pod górę — nie szarp lejcami na drodze prowadzącej ku dołowi. Gdy nie zrozumię cię odrazu, nie kwap się do bata, ale raczej sprawdź lejce, czy się nie poplątały — i podkowy, czy nie ranią mych kopyt. Jeżeli odpycham jadło, obejrzyj

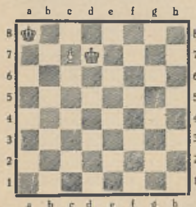


me zęby. Nie obcinaj mi ogona — mej jedynej obrony przed dokuczliwemi muchami i bąkami. A, gdy się zestarzeję, nie daj mi umrzeć z głodu, lecz sam osądź mnie i zabij, aby skrócić moje męki. I przebacz mi tę pokorną prośbę—w imię Tego, który podobnie jak ja, przyszedł na świat w ubogiej stajence".

(p).

Rozrywki umysłowe

ZADANIE - MINIATURKA.



(dla debiutantów).

W ilu posunięciach białe matują i jak?

NAGRODY.

Za rozwiązanie metamorfozy, zamieszczonej w N-rze 22 otrzymują (w wyniku losowania) p.p.. Skrzyńska, Lwów, ul. Klementyny Tańskiej 3, I p., Zofja Fedorowska, Czesław Kozłowski, Marja Liwska, Ludwik Zalcwasser z Warszawy.

Rozwiązanie zadań z N-ru 23.

Arytmogryf.

I N O W	R	O C Ł A W
J	A	R E M C Z A
	B	U S K
T R U S	K	A W I E C
Z A K O P	A	N E

BILETY WIZYTOWE.

Bezrobotna, kierowca taksówki (brak litery e), radjoamator, artylerzysta, sprzedawca.

NAGRODY.

Za rozwiązanie arytmogryfu oraz biletów wizytowych, zamieszczonych w N-rze 23, otrzymują (w wyniku losowania): pp. Edmund Jarmulski z Modlina; Kazimierz Paluch z Łodzi, ul. Ogrodowa 15; Jadwiga Urbańska - Kuźnica, Hel, Dom Nr. 63; Konrad Polak, Warszawa, ul. Marszałkowska 42; inż. J. Modrzejewski, Lublin, ul. Narutowicza 22. Zaznaczyć należy, że p. inż. Modrzejewski znalazł (dzięki brakowi litery e), dowcipny dual w rozwiązaniu biletu wizytowego „kierowca taksówki" a mianowicie „kasator kwicików".

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z N-ru 24.

Bilety wizytowe.

PORTUGALJA

FINLANDJA

SZWECJA

EKWADOR

CZECHOSŁOWACJA

JAPONJA

RUMUNJA

AFGANISTAN

PARAGWAJ

NORWEGJA

METAMORFOZA.

Łyżka, Łyska, Łaska, Łasza, Łaszt, Maszt. Może być i dual: Łyżka, Łyska, Łaska, Maska, Masza (?), Maszt.

NAGRODY.

Za rozwiązanie „biletów wizytowych i metamorfozy", zamieszczonych w N-rze 24 otrzymują (w wyniku losowania: pp. Stanisław Prokoff z Otwocka, Saturnin Jarmulski z Modlina, Dyonizy Kostecki i Wiga Łyczewska z Warszawy, S. Michalski — Łuniniec, Polesie.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ SZACHOWYCH.

Zadanie z N-ru 17 (Mat w trzech posunięciach):

1. Wb8×b2!!
   1. ...Wg2×b2
   2. Sa3—c4 i t. d.
   1. ...Wg2—g8+
   2. Wb2—b8+! i t. d.
   1. ...Wg2—g7.
   2. Wb2—g2! i t. d.

ZADANIE z N-ru 19.

(Mat w 3-ch posunięciach)

1. Wb1—h1
   1. ...d3—d2
   2. Wh2×d2 i t. d.
   1. ...a3—a2
   2. Wh2×b2 i t. d.
   1. ...b2—b1
   2. Wh1×b1 i t. d.

ZADANIE Z N-ru 21.

(Mat w 2-ch posunięciach. Oczywiście na d8 stoi biały król, a nie drugi czarny).

1. Gc5—a7!! grożąc Wc5+
   1. ...We3—e5
   2. Wf4×d4 mat
   1. ...b4—b3
   2. Wa5—a4 mat
   1. ...Se1—d3
   2. Hg2—c2 mat
   1. ...Wd4×f4
   2. Gd7—b5 mat
   1. ...Wd4—e4
   2. Gd7—e6 mat

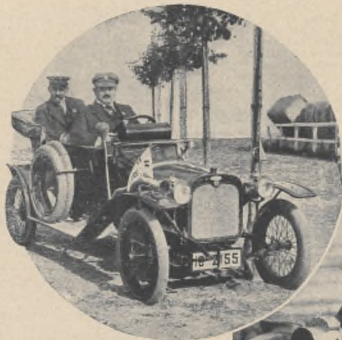
ZADANIE Z N-ru 22.

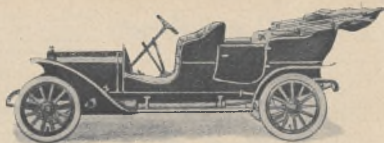
(Mat w trzech posunięciach)

1. Sd3—f2
   1. ...Ge2—f3
   2. Sf4—e2+
   1. ...Wd5—e5
   2. Sf4—d5+
   1. ...Ge2—d3
   2. Sf4×d5
   1. ...Hh5—f5
   2. Sf4×e2
   1. ...Hh5—f3
   2. Sf4×d5

Pozostałe rozwiązania w nast. N-rze.

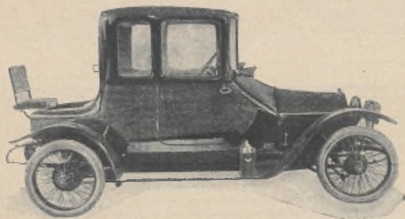
Dawniej a dziś...

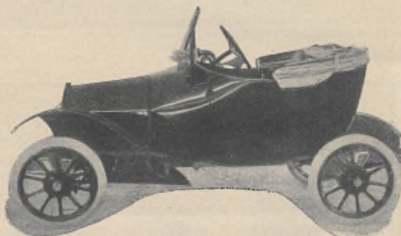


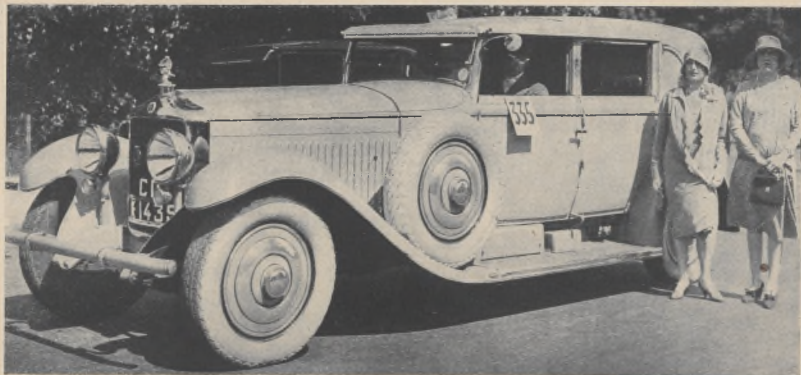


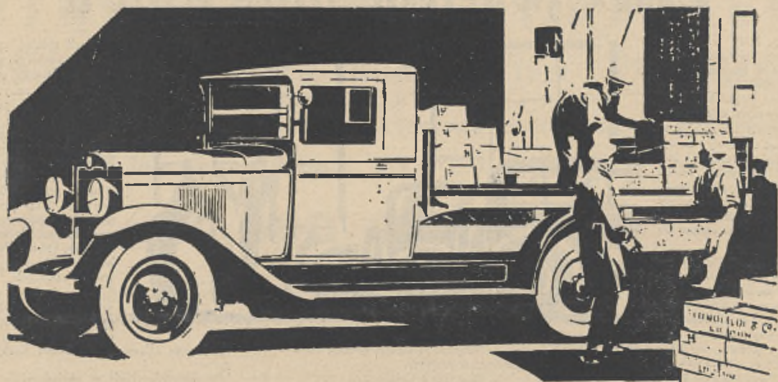


Życie jest mistrzem kontrastów. Dążąc do coraz to doskonalszej formy stwarza nowe wzory i kształty, nowe linje i barwy. Nietylko intelektualna strona życia, ale i technika znajduje coraz wytworniejszy smak w swych dziełach. Przykładem niech służą modele dawnych samochodów i dzisiejszego wytwornego auta.









Essex zwycięża Mac Kide'a

Pan, który owego sobotniego popołudnia zjawił się w biurach sprzedaży „ESSEXA" był niezmiernie eleganckim i dystyngowanym człowiekiem.

Wyraził on niezmienne życzenie rozmowy z dyrektorem sprzedaży, któremu oznajmił niskim zrównoważonym głosem, iż pragnie nabyć samochód „ESSEX", który już od dłuższego czasu należał do jego marzeń.

Nie trwało długo, a elegancki pan wybrał wspaniałą limuzynę „ESSEX" najnowszy model 1929, zwany „The Challenger".



— Czy nabywa pan wóz za gotówkę, czy na warunkach ratalnych? — zapytał sprzedawca.

— Naturalnie za gotówkę — odpowiedział elegancki nieznajomy.

Dobył flegmatycznie książeczki czekowej, wypisał żądaną sumę, wyrwał czek i podał go sprzedawcy.

— Zrealizuje go pan w poniedziałek.

Sprzedawca zawahał się. Klijent był wprawdzie eleganckim i sympatycznym człowiekiem, czek był bardzo ponętny... ale, któż w obecnych czasach może sobie pozwolić na zbytnie zaufanie do ludzi.

A jeżeli czek nie ma pokrycia?...

Tego samego zdania był i dyrektor sprzedaży, który w delikatnej formie wyłożył swe zastrzeżenia eleganckiemu panu.

Elegancki pan odpowiedział na to, że czuje się wielce zdumionym, iż podobne zastrzeżenia może wogóle ktokolwiek wysuwać pod jego adresem. Skoro jednak wątpliwości jakiekolwiek istnieją — on uczyni natychmiast wszystko, by dowieść, iż czeki jego są równie dobre, jak czeki Morgana.

Służy więc referencjami. Niechaj dyrektor sprzedaży zechce zatelefonować do firmy jubilerskiej, gdzie nabywa on często klejnoty, płacąc zawsze godnymi zaufania czekami. Niechaj zechce zadzwonić do dyrekcji hotelu Europejskiego i dowie się tam o Mac Kide'a...

Dyrektor zadzwonił do owej znanej firmy jubilerskiej, zadzwonił do dyrekcji hotelu Europejskiego i zapytał o pana Mac Kide'a, poczem z rozjaśnioną twarzą zwrócił się do kupującego:

— Referencje są zupełnie wystarczające, przyjmuję czek pana.

Mac Kide uznał to za zupełnie naturalne, skinął flegmatycznie głową — poczem odjechał w wspaniałym nowozakupionym wozie.

Nie minęło dwu godzin, gdy piękny „Essex" The Challenger powrócił, a powrót jego napełnił dyrektora sprzedaży najsmutniejszymi refleksjami. Przy kierownicy „Essexa" siedział już inny pan, ani o cal mniej elegancki, ani o cal mniej miły. Pan ów wszedł do biura „Essexa" i oznajmił, że prosi o poczynienie paru drobnych poprawek w znakomitej maszynie, którą przed chwilą nabył.

Urzędnikowi „Essexa" wystarczyło jedno spojrzenie na maszynę, by przekonać się, że był to ten sam „Essex" The Challenger, który został przez firmę dopiero co sprzedany panu Mac Kide'owi, za czek o znakomitem i pewnem pokryciu.

— Od kogo pan nabył tę maszynę? — zapytał urzędnik, czując, iż robi mu się dość niewyraźnie.

— Nabyłem ją niecałą godzinę temu — odpowiedział przybyły.

— Okazyjnie? Od kogo?...

— Od jakiegoś pana, którego nazwiska nie znam. Wiem tylko, że mieszka w hotelu Europejskim.

Urzędnikowi naprzemian robiło się to zimno, to gorąco.

— Czy można zapytać za jaką sumę nabył pan ów wóz? — zapytał drżącym głosem.

— Dlaczegóżby nie — odparł elegancki pan, wymieniając przytem sumę o 70 procent niższą, od istotnej wartości wozu — ów pan zmuszony był do natychmiastowego wyjazdu i dlatego odstąpił mi wóz za tak niską cenę.

Teraz urzędnik nie wahał się już dłużej, lecz co tchu pobiegł do dyrektora sprzedaży, oznajmiając mu żałosną nowinę.

Sprawa była jasna, jak lipcowe słońce. Pan Mac Kide był nawyraźniejszym oszustem, czek nie miał pokrycia i dlatego Mac Kide sprzedał auto za tak bajecznie niską cenę. Czek do realizacji mógł być posłany w poniedziałek rano, a tu była sobota.

Oszust miał więc, aż nadto czasu, by ulotnić się jak kamfora...

Dyrektor sprzedaży, po krótkim namyśle postanowił działać energicznie i zadzwonił do najbliższego komisarjatu policji.



Niefortunny nabywca samochodu został poddany przesłuchaniu, nie wiele jednak wiedział ponad to, co powiedział poprzednio. Mieszkał również w hotelu Europejskim i przechodził właśnie przez hall, gdy pan Mac Kide przystąpił doń i zaproponował kupno, zabezcen, nowiuteńkiej maszyny, która stała przed hotelem. Okazja była naprawdę niezwykła.

Teraz komisarz policji, nabywca wozu i dyrektor sprzedaży udali się przechodzącym tak niezwykłe koleje losu „Essexem" do hotelu Europejskiego.

— Pan Mac Kide — oświadczył im portjer — zakupił w Orbisie bilet do Poznania i przed chwilą odjechał na dworzec.

— Prędko! Prędko!! — zawołał dyrektor sprzedaży.

— Będziemy mieli ptaszka — oświadczył komisarz policji, w czasie, gdy auto mknęło ulicą Mazowiecką — żebyśmy tylko zdążyli na czas.

Samochód zatrzymał się przed dworcem głównym. Trzej panowie, jak wicher wpadli na stację.

Poszukiwania nie trwały długo. Elegancki pan i sprytny oszust w jednej osobie spożywał z całym spokojem befsztyk w restauracji kolejowej I klasy.

Komisarz policji, podszedł ku niemu.

— Czy pan Mac Kide?...

— We własnej osobie.

— Pan nabył dziś popołudniu samochód w zakładach „Essex", płacąc czekiem na P. K. O. następnie zaś sprzedał go pan za bezcen temu panu?

Mac Kide uśmiechnął się:

— Informacje pana są dobre. Tak, nabyłem dziś pięknego „Essexa" i mocno żałuję, że musiałem go sprzedać tak rychło. Miałem jednak powody, by nie jechać nim do Poznania i nie zatrzymywać go.

— Ale dlaczego sprzedał go pan tak tanio? Indagowany zdawał się nie rozumieć.

— „Essex" był moją własnością — rzekł powoli. — Moją własnością mogę, jak sądzę dowolnie rozporządzać.

— Niemniej sprawa nie jest jasna. Jest pan podejrzany o wystawienie czeku bez pokrycia. Bardzo mi przykro, panie Mac Kide, ale do wyjaśnienia sprawy muszę pana zatrzymać. Panie Mac Kide, pan jest aresztowany.

— Aresztowany?...

Mac Kide spojrzał na zegarek, poczem zaczął mówić, ze zwykłem sobie spokojem:

— To jakieś przykre nieporozumienie. Czek ma pokrycie, co do grosza. Po zakupieniu samochodu udałem się do hotelu, gdzie doręczono mi depeszę wzywającą mnie do Poznania w sprawach dla mnie ważnych. Nie miałem niestety przy sobie potrzebnej na wyjazd gotówki, zaproponowałem więc temu panu, przypadkowo w hallu hotelowym spotkanemu, kupno auta, na specjalnych warunkach. Sprawa jest prosta. Za dwadzieścia minut odchodzi „express" do Poznania. Jutro mam tam do załatwienia sprawy drobne, ale o ile nie będę w poniedzia-

OTWIERAMY WIELKI KONKURS

NAJPIĘKNIEJSZEGO DZIECKA POLSKIEGO

z niebywale cennemi nagrodami którym przoduje imponująca nagroda znakomitej fabryki czekolady „S U C H A R D“ w sumie łącznej

10.000 ZŁOTYCH

Wobec spóźnionej pory, szczegóły w następnym numerze, oraz prasie

WARUNKI BRZMIĄ JAK NASTĘPUJE:

1) Fotografje konkursowe pięknych dzieci polskich w ilości nie większej nad dwa zdjęcia jednego dziecka nadsyłać winni pod adresem Wydawnictwa „7 DNI", ul. Marszałka Focha 2 w Warszawie, rodzice lub opiekunowie dziecka.

2) Format tych fotografji nie może być mniejszy niż 6 na 9 cm. Pożądane są fotografje wyraźne, czarno-białe, na glansowanym papierze.

3) Każda fotografja winna zawierać na odwrocie wyraźnie wypisane: a) imię, nazwisko i datę urodzenia dziecka; b) nazwisko i dokładny adres rodziców, oraz — w wypadku, gdyby rodzice lub opiekunowie nie życzyli sobie ujawniania nazwiska przed finałem konkursu — odpowiednie zastrzeżenie i godło.

4) Do każdej fotografji należy dołączyć odpowiedni kupon, wycięty z numeru „7 DNI" oraz obwolutę tabliczki czekolady, lub 100 gramowej paczki kakao „Suchard". Bez tego kuponu zgłoszenia nie będą ważne.

5) Termin nadsyłania zgłoszeń wraz z fotografjami i kuponami „7 DNI" upływa nieodwołalnie dnia 1-go października r. b. o godz. 24 (o północy). Miarodajna jest data stempla pocztowego.

6) Po tej dacie ogłoszony zostanie plebiscyt wszystkich Czytelników „7 DNI", którzy sami wybiorą najpiękniejsze dziecko polskie.

7) W skład sądu konkursowego wchodzą pp.: Juljan Ejsmond, Tadeusz Gronowski, Kornel Makuszyński, Marja Modzelewska, Stefan Norblin, Zuzanna Rabska, Eugenjusz Rafalski, Well.

8) Sąd konkursowy wyróżnia fotografje do plebiscytu.

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZEGO DZIECKA POLSKIEGO
„7 DNI"
KUPON z N-ru 26-go

łek, o 1.30 na giełdzie w Poznaniu stracę 300.000 złotych.

— Czy ma pan przy sobie otrzymaną depeszę? — zapytał komisarz policji.

— Niestety, zniszczyłem ją...

Komisarz ruszył ramionami:

— Pan pójdzie ze mną...

— Bardzo chętnie. Oznajmiam jednak, przy świadkach, że, gdy sprawa się wyjaśni wniosę skargę o odszkodowanie w sumie 300.000 zł., które stracę nie będąc w poniedziałek na giełdzie w Poznaniu.

Urzędnik policji uśmiechnął się pod wąsem. Znał on dobrze groźby i sprytne wybiegi światowych oszustów.

*

Pan Mac Kide pozostał w Warszawie i w zaciszu policyjnego aresztu rozmyślał smętnie o zmienności losów ludzkich.

W poniedziałek rano jednak czek jego, posłany do P. K. O. został przyjęty i bez żadnych zastrzeżeń zrealizowany...

Skonsternowany dyrektor sprzedaży udał się natychmiast do komisarjatu policji.

Komisarz policji wysłuchał go z uwagą. Następnie pokiwał ze zdziwieniem głową i rzekł:

— To zagadkowa historja. Komunikowałem się telegraficznie z Scotland Yardem w Londynie i prefekturą policji w Paryżu. Mac Kide jest faktycznie oszustem. Odsiadywał już dwa lata wDarmoor za fałszerstwo biletów bankowych. W tej jednak sprawie jest tak w porządku, że muszę go natychmiast zwolnić. Nie mogę jednak oprzeć się uczuciu, że kryje się w tem wszystkiem jakieś tęgie łajdactwo...

Mac Kide został zwolniony o g. 9.25 rano.

Przyjął wiadomość o zwolnieniu ze spokojem i zwrócił się do dyrektora sprzedaży „Essexa".



— A teraz przyypominam panu, że, zgodnie z zapowiedzią, będę firmę „Essex" skarżył o 300.000 zł. odszkodowania. Mam świadków, że ostrzegałem pana.

Komisarz policji spojrzał z przerażeniem na dyrektora. A więc na tem polegał piekielnie sprytny plan oszusta. A więc aresztowanie było tylko na rękę jego zamiarom...

Ale dyrektor sprzedaży firmy „Essex", który również zrozumiał na czem oszust chciał wygrać, uśmiechnął się tylko i dobył zegarka:

— Pan twierdzi, że musi pan być dziś o 1.30 w Poznaniu?

— Nieodzownie, tracę inaczej 300.000 zł., które firma „Essex" musi mi zwrócić.

— Nic podobnego — odparł wesoło dyrektor. — Zrobimy co innego. Szkoda, że sprzedał pan swą maszynę tak tanio, zrobił pan bardzo zły interes. Zamiast 300.000 zł. daję panu nasz firmowy samochód i szofera do dyspozycji. Zdąży pan na czas.

— Jakto? Będę o 1.30 w Poznaniu?...

— Nawet wcześniej. Czyż pan nie wie, że nasz „Essex" nosi dumne miano „The Challenger" — wyzywający przestrzeń. Pojedzie pan z wichrem w zawody.

I dyrektor podszedł do telefonu, by zatelefonować do garażu, podczas, gdy Mac Kide miał minę godną największego współczucia.

Marek Romański.

ZA NAJLEPSZY TYTUŁ 1000 ZŁ. NAGRODY

Wydawnictwo „7 DNI" ogłaszając w druku poniższą, najnowszą i specjalnie dla nas napisaną powieść utalentowanego pisarza, p. Stanisława Strump-Wojtkiewicza, pozostawia P. T. Czytelnikom znalezienie do niej najodpowiedniejszego tytułu i w tym celu ogłasza odpowiedni konkurs z nagrodą 1000 zł. W skład sądu konkursowego wchodzą pp.: Juljan Eysmond, Juljusz German, Wacław Grubiński, Marjan Hemar, Tadeusz Kończyc, Jan Piotrowski, oraz autor tej powieści.

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Hala Liwska ukończyła pensję. Wypadkowe spotkanie i początek flirtu z Arturem Zaliwskim, otwierają przed nią nowe horyzonty. Nić romansu nawiązana. Wtem, niespodziewanie oświadcza się o Halę stary p. Woyno. Tego samego dnia — nowa „bomba" wybucha, bo oto kuzynek Staś, złapawszy Zaliwskiego, na gorącym uczynku pocałowania Hali, zdradza zachowaniem swem, że i on kocha dziewczynę, co jej zresztą nazajutrz wyznaje. Kochają ją... Papcio nalega, by Hala przyjęła propozycję Woyny. Hala coraz częściej przebywa w towarzystwie koleżanki Aliny, śmiałej i nowoczesnej panny. Młode panny odwiedzają dawną koleżankę, Molińską, która prosto z pensji wyszła w świat... w półświatek. Po zerwaniu z Zaliwskim rozpoczyna flirt z nowym, młodym człowiekiem, aż wreszcie, zapoznawszy się z kłopotami finansowemi Zaliwskiego, pożycza od ojca większą kwotę pieniędzy, by móc go uratować. Zaliwski odnosi część pożyczonych pieniędzy. Znów powtarzają się dziwne konkury do Hali, w których jednak mowy nie ma o... miłości. Wiedziona instynktem Hala postanawia wyjechać i udaje się na wieś, do koleżanki Zośki, gdzie pierwszego już wieczora spotyka Reńskiego. Po kilku dniach pobytu, otrzymuje list z domu, pod wpływem którego postanawia wrócić na jeden dzień do Warszawy. Reński ofiarowuje jej swój samochód, w którym oboje wyruszają w podróż. W Warszawie rodzice robią Hali wymówki z powodu flirtu z Zaliwskim, a papcio dowiedziawszy się o konkurach Reńskiego oświadcza, że nigdy nie zgodzi się na to małżeństwo. Hala postanawia uciec z Czerniczek do domu. Niezatelegrafowawszy po konie Hala zwraca się do znajomego technika z pobliskiej gorzelni o pomoc. Ten korzystając z wieczora i padającego deszczu zamyka Halę na klucz w swoim pokoju i postanawia ją zdobyć. Hali udaje się wydostać z tarapatów. Ucieka pieszo do Czerniczek, gdzie po tych przejściach choruje. Zwierza się Zuście, która ją ostrzega przed Reńskim. Otrzymuje telegram wzywający ją do Warszawy. Na dworcu dowiaduje się, że Zaliwski został aresztowany i że musi go ratować. Natychmiast udaje się do urzędu śledczego, gdzie spotyka się z Zaliwskim. Ten daje jej cały szereg poleceń do regulowania spraw finansowych, które natychmiast załatwia. Spotyka się z Reńskim, z którym jedzie na obiad do Konstancina. Ulegając namowom Reńskiego jedzie z nim do Molińskiej na dancing. Na drugi dzień spotyka się z Zaliwskim wypuszczonym w międzyczasie z więzienia. Zaliwski prosi o rękę Hali i zostaje przyjęty. Zaczyna się dla Hali okres narzeczeństwa. Po pewnym czasie następuje zerwanie i powrót do Reńskiego, który wreszcie porzuca Halę. Na widowni ukazuje się znów Zaliwski, który po kilku podejrzanych aferach pieniężnych ucieka zagranicę. Wyczytawszy to papcio dostaje ataku sercowego.

(25)

Lśniące, wyślizgane szyny plączą się w geometryczny chaos. Wybiedz z tego piekła zwodniczo błyskających dróg — wybiedz na prostą daleką, nieskończoną drogę — jakże jest trudno. Jakże rozwikłać tysiąc poplątanych kierunków i znaleźć najprostszy swój własny — jedyny? Wyrwać się z piekła zawieruchy miejskiej, ruszyć nareszcie w gwiezdną dal, pachnącą czystemi powiewami pól — wyrwać się...

Niecierpliwość ogarnia Halę. Przygląda się niemal zazdrośnie rzędom stalowych, czarnych cielsk. Każda z tych maszyn znajdzie swą drogę właściwą. Sto mądrych mózgów i sto czujnych rąk kieruje martwemi bryłami. Czemuż nie znalazł się nikt, któryby kierował rozumnie i przezornie żywem życiem? Czemu opuściłeś nas — Boże —

— Jestem taka sama i opuszczona — i zdana na własne siły — których nie znam — żali się Hala.

— Kochałam tak bardzo i cóż mnie za to spotyka — czy mogłam cokolwiek poradzić przeciw tej miłości —

— Pragnęłam potem żyć dla kogoś takiego, który brnął w zło, którego trzeba było ratować — i napróżno —

— Złamało się we mnie serce i zniszczone moje najlepsze zamiary — cóż mi pozostało więcej — nic — nic —

— Dlaczego tracę teraz papcia — jednego kochanego — który był dla mnie wszystkiem — ach dlaczegóż nie rozumiałam, że trzeba żyć tylko dla papcia —

— Papcio żył marzeniami, że pokocham i będę kochana i stanę się szczęśliwa i pożyteczna — i ja tego chciałam — więc jakże to wszystko mogło się stać —

— Wybacz mi — wybacz — Boże —

Hala wybierała teraz swój tor, swoją ostatnią drogę. W strzępach wspomnień był sen o torze kolejowym i tragicznej wędrówce, w której przeszkadzał Zaliwski. Sen był złowieszczy i proroczy. W śnie tym płakał Steyr. Być może zmartwi się — gdy go dojdzie wieść...

— A tym — przebaczam — przebaczam —

Konduktorzy trzasnęli drzwiczkami. Wśród gwizdków porusza się parowóz. Jaśniej rozbłysły wszystkie światła. Hala spojrzała poraz ostatni na świat, w którym nie chciała zostać sama i bezradna. Papcio już nie żył: Hala rozumiała to z całą pewnością. Ani chwili dłużej nie zostanie na świecie sama — bez miłości. Szybko skoczyła z peronu. Błysnęły jaskrawe reflektory. Z miękkim stukaniem szyn toczą się nad nią wielkie koła. Gorący oddech maszyny smaga twarz, blask mruży powieki. Olbrzymia siła porywa bezwładne ciało Hali i po bolesnem szarpnięciu kołysze — kołysze — kołysze —

— Stało się — to właśnie była śmierć —

*

To było gorsze niż śmierć — to było życie. Obcy ludzie otaczali Halę, cucili — rozpytywali — potem wieźli. Już o własnych siłach chwiejnie wchodziła na górę. Mężczyźni w policyjnych ubraniach rychło zrozumieli po rozmowie z dozorcą, że w domu było nieszczęście. Troskliwie podtrzymywali Halę, gdy dzwoniła. Odeszli.

Drzwi otworzyła Stefcia — choć była to godzina spóźniona. Hala stanęła w przedpokoju bez ruchu. W gabinecie papcia i w stołowym pokoju chodziły zegary — jak zwykle — jak zwykle. Cisza i spokój.

Stefcia znikła, nic nie powiedziawszy.

Ogromne zmęczenie ogarnęło Halę. Oparła się o wiszące okrycie i nabierała tchu. Rozpaczliwe decyzje minęły — przyszła beznadziejna rezygnacja.

Nagle w śmiertelnej ciszy mieszkania rozległ się jakby skowyt. Hala drgnęła: oto głos najstraszliwszego bólu. Kto to tak płacze nieludzko — matka — Kazia —

— Więc papcio nie żyje — wiedziałam o tem —

Przeszła wolno, żeby nie upaść i żeby nie hałasować do pokoju ojca. U łoża klęczała matka. Kosmyki rzadkich włosów srebrzyły się w promieniach księżyca, który oswietlał także na ścianie ulubiony sztych papcia: „Mother's Treasures" (Matczyne szczęście). Śliczna, starodawna mamusia bawi się na tym sztychu z dwiema córeczkami i kotkiem...

Skowyt powtórzył się i zjeżył Hali włosy. Szarpnął nią ból, o jakim nie miała wyobrażenia. Obłęd ogarnął i ją — rzucił na ziemię i miotał w konwulsyjnym, śmiertelnym spazmie płaczu.

*

Tragiczne dnie wolno mijały. Mieszkanie taiło w sobie rozpacz i żałobę. Wszystkie kąty były pełne smutku. Do gabinetu papcia nikt nie śmiał wchodzić. Wieczorami pani Liwska i Stefcia — obie z opuchniętemi od płaczu oczami siadały przy stole. Kazia krążyła zapłakana z żalu po dobrym panu i z powodu panienki Hali, chodzącej nieprzytomnie po swoim pokoju. Hala nie chciała widzieć ludzi, nawet matki, która — przemagając własne cierpienie i żale — próbowała ją odwiedzać.

Myśl o śmierci nie opuściła Hali. Z przerażeniem budziła się co rano: nieznośny stawał się dla niej ciężar życia. Gdyby tak można było zasnąć na zawsze! Po co ratowano ją na dworcu — byłoby już po wszystkiem — nic by się nie cierpiało — i nie pamiętało. Hala żałowała teraz, że w przystępie oburzenia odesłała Reńskiemu „pierścionek miłości i śmierci". Wystarczyłoby przyłożyć go do ust, żeby rozstać się ze światem, na pozór tak pięknym, a mającym tyle zdradzieckich zasadzek. Umrzeć — dość tego — chcę umrzeć!

— Halu! Halu! — napróżno próbowała przemówić do niej pani Liwska.

— Niech mamusia mnie nie dotyka! Słyszy mamusia! Jestem podła, jestem zła! Przezemnie to wszystko — i papcio umarł pewnie przezemnie. Ja chcę umrzeć! —

Hala wołała to w uniesieniu. Potrafiła następnie milczeć całemi dniami, leżąc twarzą w poduszce, lub biegając z kąta w kąt. Nie wypuszczano jej z domu. Kazia nieustannie śledziła jej kroki.

Przełom w tej wielkiej rozpaczy po utraconym papciu — i po utraconym pięknie życia — nastąpił nieoczekiwanie. Oto w łazience wypatrzyła Hala butelkę z napisem „trucizna". Był to silny środek dezynfekcyjny. Hala wzięła tę butelkę do siebie i postawiła ją za lustrem na toaletce. Postanowienie było mocne i ostateczne. Hala chciała tylko wypić truciznę nie w domu, lecz pójść z nią na miasto. Niech matka dowie się o wszystkiem od ludzi — i niech nie będzie drugiego pogrzebu w domu.

Uspokojona tą decyzją, poraz ostatni wygrała na pianinie swoje ulubione melodje i poszła pomówić (poraz ostatni!) z Kazią — potem z matką. I pani Liwska i służąca były widocznie ucieszone zmianą w Hali.

— Mamusiu, dość się już wysiedziałam — pójdę teraz na miasto —

— Dobrze, weź ze sobą Stefkę — ona też potrzebuje powietrza — powiedziała pani Liwska. Hala poraz pierwszy usłyszała brzmiącą w tym głosie rozpacz. I poraz ostatni zapewne...

— Ale niech i Kazia idzie.

Pani Liwska przystała na to chętnie. Hala zaś miała na myśli uśpienie podejrzeń. Stefcia i Kazia zostaną, ona zaś poprostu wsiądzie do dorożki i pojedzie sama — i już nie wróci. Trudno — jeśli się nie umie żyć — trzeba umrzeć.

Wtem z pokoju Hali rozległ się stuk i brzęk tłuczonego szkła. Pani Liwska poszła tam zaraz:
— Och, ta Stefcia, stłukła już trzy wazony, zegar, tuzin talerzy i kloszy — cóż ona tam znowu stłukła?

Stefcia stała przerażona i tłomacząc się: — Mamusiu — ja nie wiem — chciałam wejść na toaletkę i zobaczyć moje nowe pantofle w lustrze i trąciłam lustro i tam coś spadło i stłukło się.

Pani Liwska pochyliła się i nagle pobladła.

Hala stała przy niej sztywna i surowa: na podłodze rozlał się płyn żrący i cuchnący. Kazia przyszła ze ścierką i poparzyła palce przy wycieraniu.

— Halu — ach — Halu — rozszlochała się pani Liwska. — Halu — jakże ty mogłaś — idź — dziękuj Stefci — jakże — to — ty — jeszcze — takie nieszczęście chciałaś na nas sprowadzić — ty — moja córka — i podpora — jakżebyśmy same zostały.

W wielkim wspólnym płaczu poraz pierwszy odnalazły się tego dnia matka i córka. Obejmując się przesiedziały długie godziny do zmierzchu. Obie drgnęły, gdy zabrzmiał dzwonek: o tej porze zwykle wracał ze spaceru papcio. Rozpłakały się znów: papcio nie wróci nigdy. Niezapomniany, najlepszy z papciów — nie wróci! Hala dziwiła się — oto jeszcze ktoś, który kochał równie silnie papcia. Pani Liwska należała do tych osób, które dopiero po stracie osoby najbliższej uświadamiają sobie własne dla tej osoby uczucia.

— Zawsze go tak kochałam — przypominała teraz żałośnie pani Liwska.

— Żyć z kimś — i nie wiedzieć, że go się kocha — to takie zwykłe.

Hala w tych dniach wspólnego cierpienia odnalazła swą miłość dla matki.

XVIII.

— Jeśli gdziekolwiek na ziemi mógł mieszkać Bóg, to chyba wśród tych olbrzymich gór i głębokich dolin — mówiła zadyszana Hala do Anny Steyr, gdy stanęły wreszcie u celu. Była to łagodnie opadająca łąka górska, oddawna czarująca wzrok nowych mieszkanek doliny wszystkiemi barwami górskiego kwiecia. Do tej wzorzystej makatki, rozłożonej między skrajem ciemnozielonego lasu, a urwiskiem, głębokiem i stromem — szło się od wioseczki, ledwie teraz widocznej na dnie przepaści, długie trzy godziny. Młode kobiety stały po pas w trawie i kwiatach, pachnących miodem słonecznym i rzeźkością górskich wichrów. Były tak drobne na tle majestatycznych wyżyn, że — być może — ledwie dostrzegano je z wioski, a z całą pewnością nie mogły być widziane ze szczytów które pięły się o tysiące metrów wyżej i wyżej.

— Nie ma nas — zniknęłyśmy wśród tych olbrzymów — mówiła Anna, klękając na trawie. Ułożyły się w słońcu i długo milczały, wsłuchane w szum dalekich drzew i hałaśliwe brzęki leśnych pszczół, formalnie oblegających wonne ustronie.

Hala przyjrzała się teraz Annie: dotychczas unikała patrzenia jej w oczy. Anna przestała być szczupłą, kościstą panną — wyraźnie poprawiła się i zaokrągliła w kształtach. Opalona i silna, mało przypominała Annę Steyr z Warszawy: chorowitą i bladą. Tylko siwe, bystre oczy patrzyły, jak dawniej, hardo i badawczo i kryły swój stary smutny wyraz, który podpatrzono i za który nazwano oczy Anny — oczyma „poetki". Któraś z koleżanek dowodziła wówczas, że w oczach Anny maluje się „ból wszechświata".

Z kolei i Anna przyjrzała się Hali.

— Musiałaś wiele przeżyć — widać to po tobie — powiedziała — ale nie bój się — wszystko minie — jesteś młoda i piękna.

Spojrzała na zegarek.

— Jaś powinien jeść już drugie śniadanie. —

Istnienie małego Jasia było dla Hali niespodzianką. Telegraficznie porozumiała się z Anną Steyr — wyjechała z radością — pierwszy raz w daleką drogę — znalazła się w najśliczniejszej wiosce podgórskiej, o jakiej można było marzyć— i wszystko na jej przyjęcie było przygotowane. Anna wybrała mieszkanie, umówiła cenę wyjechała na spotkanie małym konikiem, pomogła Hali przy odebraniu bagażu, przywiozła; wreszcie zapowiedziała, że sama również zamieszka tu dwa tygodnie dla towarzystwa Hali — i dla zdrowia „małe zdrowie" troszczy się Anna. Rozmawiały „małe zdrowie troszczy się Anna. Rozmawiały z ożywieniem o pracach, które Anna prowadzi dla Ligi Narodów, o znajomych warszawskich i o tem, że z pokoju jest śliczny widok na ogródek— a dalej na góry — gdy wtoczył się przez półotwarte drzwi maleńki Jaś. Hala aż drgnęła: dziecko było śliczne i miłe.

— Jasiu — przywitaj się z Halą — powiedziała poprostu Anna. — Halu — to jest mój Jaś — kochany Jaś —

— Nie wiedziałam — zająknęła się Hala.

Anna bardzo spokojnie pokiwała głową.

— Wiem, że nie wiedziałaś. Opowiem ci to. Nie — zamąż nie wyszłam — i zapewne nie wyjdę —

Jaś wdrapał się tymczasem na kolana Hali i objął jej szyję małemi, pulchnemi rączkami. W oczach Hali zabłysły łzy.

— Anno — to jest prawdziwe szczęście —

Teraz, na łące, zapatrzone w płynny lazur nieba, Ana podjęła rozmowę na temat Jasia.

— Historja bardzo prosta, Halu. Pamiętasz moje rzekome zapalenie mózgu? Więc to było wtedy. Zakochałam się — zostałam matką — zamąż nie wyszłam. Znalazłam w sobie dość siły i odwagi, żeby naprzekór opinji nieść ten cię żar — który stał się szczęściem i słońcem życia — jestem wolna, samodzielna i szczęśliwa —

— A on? — spytała Hala.

— On — nie istnieje — dla mnie — odpowiedziała Anna krótko. *(d. c. n).*

Co słychać na świecie?

Zbyt świeżo dotknęła nas żałoba po stracie ś. p. mjr. Idzikowskiego, byśmy tutaj mieli przywodzić na pamięć całą, „historję" tego nieszczęśliwego lotu. Poruszamy sprawę tę jedynie dlatego, ponieważ tu i ówdzie dają się słyszeć pesymistyczne uwagi, oraz niewiara w nasze poczynania. Pesymizm podobny jest z gruntu fałszywy. Wszak każdy powinien wiedzieć, że lot z Europy do Ameryki, jest o wiele niebezpieczniejszy i trudniejszy, aniżeli naodwrót, głównie z powodu ostrych wiatrów, wiejących lotnikowi w twarz i częstokroć uniemożliwiających mu kierowanie statkiem powietrznym. Mimo dziewięciokrotnych prób nie przeleciał dotychczas dosłownie nikt z Europy do Ameryki. Zginęli Nungesser i Coli na „Białym Ptaku", nie dolecieli do celu i zawrócili na „Niebieskim Ptaku" — Givon i Corbu, tosamo spotkało Costesa i Bellonte'a onegdaj na „Znaku Zapytania". Bezskutecznie wystartowały w drogę dwa statki powietrzne „Bremen" i „Europa", — zginęli kpt. Hincliff i miss Mackay, a kiedy „Bremen" poraz drugi usiłował przezwyciężyć Atlantyk utknął na wyspie Greenly Island. Nasi lotnicy startowali już raz, a obecnie poraz drugi. W obu wypadkach spotkało ich niepowodzenie, jednak oni sami zrobili wszystko co leżało w ludzkiej mocy. Składamy im też na tem miejscu hołd, w tem niezłomnem przekonaniu, że jednak Polacy znajdą się wcześniej, czy później w szeregach zdobywców Oceanu. Równocześnie zaś życzymy kpt. Kowalczykowi, by Bóg dopomógł mu do tego czego nie zdołał jeszcze nikt przed nim osiągnąć i ślemy mu gorące „Szczęść Boże"

*

Wiele hałasu narobiła wiadomość, jakoby w jesieni br. miał być przez Brianda przedłożony projekt stworzenia Stanów Zjednoczonych Europy". Projekt ten miałby być rozważony przez Ligę Narodów. Jest pewną rzeczą, że gdyby projekt podobny przeszedł, uniknięto by raz na zawsze wojen. Byłoby to błogosławieństwem dla Europy, jednak samo przeforsowanie projektu przedstawia tyle trudności wprost nie do pokonania, że mimo, iż tak poważny mąż stanu jak Briand sprawę tę zainicjował, możemy — przynajmniej na razie — „Stany Zjednoczone Europy" uważać za czystą mrzonkę.

Odbywa się obecnie w Polsce pierwszy Sejm Polaków z zagranicy. Z każdego niemal kraju przyjechali przedstawiciele, celem wspólnego roztrząsania kwestji związanych z emigracją polską. Obok przedstawiciela Francji zasiadają przedstawiciele Chin, Brazylji, Kanady... I tutaj należy zanotować rzecz charakterystyczną: nie wszędzie jest różowo, jednak z żadnych ust nie padły tak gorzkie wyrzuty i skargi na obchodzenie się z naszymi emigrantami, jak to usłyszeliśmy od przedstawiciela naszej emigracji niemieckiej. Czas najwyższy, by ukrócić samowolę niemiecką i to tem więcej, że przecież posiadamy tam całe połacie kraju od niepamiętnych czasów zamieszkałe przez element rdzennie polski. Dzisiaj, kiedy jesteśmy już przez wszystkie nieomal narody świata traktowani jako państwo mocarstwowe, powinniśmy wywrzeć odpowiedni nacisk na naszych bezpośrednich sąsiadów z zachodu, by wreszcie raz ustosunkowali się do nas tak, jak tego wymaga kultura i nasza siła.

*

Małopolska wschodnia została dotknięta klęską powodzi. W powiatach kołomyjskim, horodeńskim, śniatyńskim, stanisławowskim, stryjskim itd. wystąpiły rzeki z brzegów powodując olbrzymie niekiedy straty. Jak się dowiadujemy rząd pośpieszył z natychmiastową wydatną pomocą powodzianom i czynione są przygotowania, by rozmiary klęski zmniejszyć do minimum.

*

Podczas ostatniej debaty politycznej w Izbie Gmin, wyłoniła się jasno marszruta polityczna rządu Mac Donalda. Na pierwszym planie stawia Mac Donald ewakuację Nadrenji i znormalizowanie stosunków angielsko-sowieckich. Inna rzecz czy Mac Donald potrafi zrealizować swój program. Jeśli nawet uda mu się przeprowadzić punkt pierwszy tj. ewakuację Nadrenji, to uregulowanie współżycia z Sowietami nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, głównie z powodu komunistycznych agitacji ze strony sowietów nie tylko na terytorjum rdzennie angielskiem, lecz ponadto i przedewszystkiem w Indjach. Jak zaś Indje są podminowane — o tem donieśliśmy w jednym z ostatnich numerów „7 Dni".

Ja... el.

NOWOCZESNE PIELĘGNOWANIE URODY.

Każdy preparat lekarsko-kosmetyczny wytwórni „Miraculum" wypływa z poczucia konieczności dostosowania się do postępu wiedzy lekarskiej, tudzież z niezbędnego — dla skuteczności — *indywidualizowania*. Jej to zasługą, iż dziś nie niszczy się urody, jak dawniej, uniwersalnemi kosmetykami, ponieważ preparaty „Miraculum" są ściśle dostosowane do różnorodnych właściwości cery, włosów i skóry ciała. Nawet środki do codziennego użytku, jak do mycia twarzy, oraz pudry wytwarza „Miraculum" *odrębnie* do tłustej, suchej i prawidłowej cery. O doborze odpowiedniego środka, oraz sposobu zastosowania go, uświadamia popularno-naukowa broszurka, załączona do każdego preparatu, nawet do *Shampoonu Dra Lustra*. Ponieważ nauka potępia stosowanie jednego kremu do każdej właściwej cery, przyrządza „Miraculum" krem ożywczy *„Oxa" Dra Lustra* dla więdnącej cery, tudzież niezrównany *krem „Mira" z przepisu Dra Lustra*, przeznaczony do odmładzania naskórka i wygładzenia łuszczącej się cery — dla prawidłowej i suchej skóry.

Dr. Z. B.



7 DNI NASZEGO CZYTELNIKA

KALENDARZYK TYGODNIOWY

21 N Praksedy.
22 P Marji Magdaleny.
23 W Apolinarego.
24 Ś Kunegundy.
25 C Jakuba.
26 P Anny.
27 S Natalji.

KALENDARZYK ASTRONOMICZNY

Słońce		Księżyc	
w.	z.	w.	z.
3.40	19.45	20.42	2.34
3.42	19.44	21.8	4.1
3.43	19.43	21.29	5.14
3.45	19.40	21.57	7.43
3.44	19.47	21.11	6.28
3.47	19.39	22.9	8.59
3.48	19.38	23.21	10.14

KALENDARZYK HISTORYCZNY

22 lipca 1807 r. — nadanie Konstytucji Księstwu Warszawskiemu.

23 lipca 1683 r. — wyjazd Jana III pod Wiedeń.

27 lipca 1597 r.—śmierć Jakuba Wujka, sławnego tłomacza biblji.

TRZYLETNIA WALKA O „DIANĘ".

(C-S) Punktacja trzyletnich dotychczasowych rozgrywek o nagrodę PUWF „Diana" w kobiecych lekkoatletycznych mistrzostwach Polski przedstawia się następująco: 1) AZS 392 pkt. 2) Grażyna 312 pkt. 3) Cracovia 300 pkt. 4) Rozdzień 146 pkt. 5) Legia 113 pkt. 6) Makabi-Kraków 78 pkt. 7) AZS Poznań 65 pkt. 8) Kolejowy KS 62 pkt. 9) Warta 59 pkt. 10) SKRA 48 pkt., Warszawianka 33 pkt., Makabi Wilno 29 pkt., i t. d. i t. d.

Minima mistrzowskie zostały zdobyte na mistrzostwach kobiecych we wszystkich konkurencjach za wyjątkiem skoku w wyż i biegu 60 mtr.

TEATR

NARODOWY

dn. 18 b. m. Król Stefan Batory.
dn. 19 b. m. Pan Jowialski.
dn. 20 b. m. Pan Jowialski.
dn. 21 b. m. Pan Jowialski.
dn. 22 b. m. Pan Damazy.
dn. 23 b. m. Król Stefan Batory.
dn. 24 b. m. Pan Jowialski.

LETNI

dn. 18 b. m. W czepku urodzony.
dn. 19 b. m. W czepku urodzony.
dn. 20 b. m. Gorączka nafty (premjera).

POLSKI

dn. 18 b. m. Bolesław Śmiały.
dn. 19 b. m. Bolesław Śmiały.
dn. 20 b. m. Wielki Kram.
dn. 21 b. m. Cud Mniemany.
dn. 21 b. m. Cud Mniemany.
dn. 23 b. m. Bolesław Śmiały.
dn. 24 b. m. Cud Mniemany.

MAŁY

Codziennie: Śluby Panieńskie.







RADJO - OGRÓD PHILIPSA

(Mazowiecka Nr. 9)
Codziennie oprócz poniedziałków, Koncert - Dancing od godz. 17-tej do 22-ej.

MORSKIE OKO

Codziennie olśniewająca rewja w 20 obrazach „Warszawa w kwiatach". Dn. 20 b. m. 150-te przedstawienie z sensacyjnemi obrazami: „Rugby", „Gdy noc zapada", „Kobieta i bestja", „Tango Milonga".

„QUI-PRO-QUO"

Gościnne występy krakowskiego teatru rewji „Gong", „Tili Bom".

KINO

Splendid: „Niedorostek" z Haroldem Lloydem.

Wodewil: „Krzyk serca" z Bessie Love.

Quo Vadis: „W imieniu cara" z Lyą de Putti.

Stylowy: „Ostrożnie z kobietą" z Carmel Meyers.

Casino: „Zakochany nieboszczyk" z Rajmundem Griffitte.

Palace: „Noc u Maksyma" z Mikołajem Rimskim.

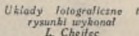
WYSTAWA ARTYSTÓW POLSKICH NA P. W. K. przewyższa wszystkie podobne wystawy w Europie.

Dyrektor Instytutu Carnegie'a i kierownik działu Pięknych w Pittsburgu p. H. Homar St. Gaudens, corocznej wystawy Sztuk po całej Europie, świeżo powróciwszy z podróży, zwiedzając przeszło dwadzieścia krajów m. in. i Polskę oraz Powszechną Wystawę Krajową, w poszukiwaniu eksponatów na tegoroczną międzynarodową wystawę w Pittsburgu, tak wyraził swoje wrażenia o Polsce:

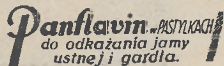
„...Polacy mają w tym roku pamiętną dla nich wystawę w Poznaniu. Wybudowali oni olbrzymie budynki wystawowe, biorąc pod uwagę skromny rozmiar miasta Poznania i wypełnili je eksponatami, które rzeczywiście dają zwiedzającym żywy obraz wielkiego rozkwitu narodu polskiego. Wystawa artystów polskich stanowi jedną z największych atrakcyj Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu i pod względem oryginalności, artyzmu i żywotności przewyższa wszystkie podobne wystawy w Europie jakie zwiedziłem w ostatnich jedenastu latach.



Jedź i podziwiaj wielkie dzieło zbiorowe narodu polskiego PWK w Poznaniu, bo nie wiadomo, czy doczekasz następnej Wystawy, która nieprędko stworzoną być może.



Układy fotograficzne i rysunki wykonał L. Chejfec









Próba sugestji wzrokowej

Jak wiadomo, ziewanie jest zaraźliwe. Proponujemy wpatrywać się w załączone fotografje przez 5 minut i nie ziewnąć, jak to robią Clara Bow, Esthera Ralston, Ruth Taylor i Nancy Caroll (Fot. Paramount)









„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie
Prenumerata kwartalna: 6.50 złotych, półroczna 12.50 złotych wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w poniedziałki, środy i czwartki od godz. 10 do 12-ej, we wtorki i piątki od godz. 18 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: JAN PIOTROWSKI — Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN — Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 172-22 i 117-98.